

Biblioteka
Instytutu Badań
Lubelskich

PI 125

Nr 6.

Warszawa, 10 lutego 1923.

Cena 1000 mk.

Rok IV.

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *Leon Kozłowski*: Czy Polska jest? — *Dr. Jan Bobrzyński*: Uwagi nad exposé prezydenta ministrów Sikorskiego (dokończenie). — *Er Zet*: Ça ira. — *St. Pomarański*: Marjan Dubiecki (ciąg dalszy). — *Reflektor*: Na marginesie. — *Marja Jehanne hr. Wielopolska*: Nie tyle grzeszne ile kaśliwe usta Magdaleny Samozwaniec. — *Wiktor Brumer*: Wrażenia Teatralne („To, co najważniejsze“). — *Lew Tolstoj*: Ojciec Sergjusz (odcinek).

CZY POLSKA JEST?

Dzień 6 lutego zapisał się smutną i złowróżbną kartą w dziejach zmartwychwstałej Polski. Wczesnym porankiem dnia tego w stolicy Polski kilkutyśięcny tłum chował, jak bohatera narodowego, zabójcę pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Składano wieńce i kwiaty na jego mogile, wznoszono okrzyki na jego cześć. Jednocześnie w kościołach stolicy odbywały się msze żałobne za duszę zabójcy, i wszędzie młodzież polska brała udział w tej demonstracji antypaństwowej.

Cudzoziemiec, bawiący w ten dzień w Warszawie mógłby pomyśleć, że Polska nadal pozostaje pod obcą władzą i że patriota polski zabił przedstawiciela tej obcej narzuconej władzy, zato został przez zaborców rozstrzelany, a teraz rodacy chowają jego, jak bohatera narodowego. Albo mógł pomyśleć jeszcze, że w Polsce odrodzonej powstała władza despotyczna, że zabity był znieprawdym krwawym tyranem, jak Lenin lub Marat, i że teraz naród składa hołd zwłokom tyranobójcy.

Lecz nie by nie zrozumiał cudzoziemiec, gdyby opowiedziano mu, że zabity, jako człowiek w nikim nawet w zabójcy swoim nienawiści nie budził, a z urzędu swego reprezentował Państwo Polskie i był obrany zgodnie z Konstytucją Polską większością przedstawicieli Państwa Polskiego. Jak to? Więc Polacy solidaryzują się z zabójcą głowy Państwa Polskiego i urządzają manifestacje przeciwko państwowości polskiej? Czy są to anarchiści nie uznający wogóle państwa, lub komuniści zwalczający „państwo burżuazyjne“? I zdumiał by się ostatecznie obcokrajowiec, gdyby mu wytłomaczono, że owe antypaństwowe manifestacje na cześć zabójcy Prezydenta urządzają nie anarchiści i nie komuniści, lecz ludzie należący do obozu, który uważa siebie za obóz narodowy, państwowy i chrześcijański.

Nie tylko cudzoziemcowi, ale i polakowi trudno zrozumieć, jak mogło dojść do tego. Jeszcze przed miesiącem „obóz narodowy“, zachowując pozory państwowości, potępiał czyn Niewia-

domskiego, wypierał się wszelkiej z nim solidarności. Prasa narodowo demokratyczna nazywała ten czyn zbrodniczym, hańbiącym Polskę w oczach świata, plamiącym naród polski.

Więc teraz hołd składa się temu, kto „zhańbił Polskę“, i „bohaterem narodowym“ robi się tego, kto splamił naród Polski?

Niewiadomski życiem własnym zapłacił za czyn swój, umarł mężnie, nie drgnął przed śmiercią. To — prawda. Ale czy przez to zmienił się czyn jego i przestał być takim, jakim był: zbrodniczym, antypaństwowym i hańbiącym Polskę?

Można podziwiać jego siłę charakteru, można żałować, że na taki czyn ta siła została zmarnowana, można ubolewać nad losem jego, można i powinno ze stanowiska chrześcijańskiego modlić się za duszę jego. Ale nie można składać hołdu przestępcy i robić Niewiadomskiego „bohaterem narodowym“, na tej tylko podstawie, że umarł bohatersko.

I nie dla tego oczywiście hołdy pośmiertne zbiera Niewiadomski, że na śmierć odważnie szedł: młodzież z „obozu narodowego“ nie niosłaby przecież trumny ze zwłokami anarchisty lub komunisty, chociażby ten najmężniej śmierć spotkał. Składa hołdy Niewiadomskiemu „obóz narodowy“ dla tego, że solidaryzują się z idea, dla której ten fanatyk zabójstwo popełnił i za którą swoje życie oddał. Ideę tę Niewiadomski sformułował w swej mowie przed sądem i w swoim liście pożegnalnym, a jest nią sofizmat, że *Polski jeszcze niema*, bo to, co widzimy, nie jest Polską, lecz Judeo-Polską.

W tym sofizmacie usprawiedliwienie i zbrodni Niewiadomskiego i antypaństwowych manifestacji na cześć jego, bo cała ta akcja antypaństwowa jest jakoby skierowana przeciwko Judeo-Polsce, i burząc Judeo-Polskę walczy się jakoby o Polskę prawdziwą.

Obalamucona tym sofizmatem młodzież nie uświadamia sobie antypatriotycznego charakteru tej manifestacji na cześć zabójcy Prezydenta Rzeczypospolitej Polski: w jej oczach zabity został nie prezydent Polski, a „ich Prezydent“, jak pisała „Rzeczpospolita“ — Prezydent Judeo-Polski,

a zabójcą stracony jest bohaterem polskim, walczącym o Polskę narodową.

Z tym sofizmatem i z całą tą ideologią antypaństwową, która znalazła tak jaskrawy wyraz w czynie Niewiadomskiego, walczyć trzeba, bo chociaż sprawca nie żyje, czyn jego żyje, solidaryzują się bowiem z nim tłumy ludzi. A więc przede wszystkim o sofizmacie „Judeo-Polski“.

Zabity Prezydent, powiadają, był przedstawicielem Judeo-Polski. Czemuż to tak? Dla tego, mówią, że razem z polskimi partjami, które wystawiły jego kandydaturę, głosowali i żydzi. Ale trzeba być konsekwentnym. Jeżeli polskie stronnictwo, głosując razem z żydami, staje się judeopolskim, to i obóz tak zw. „narodowy“ stał się judeo-polskim potem, jak razem z żydami próbowali obalić rząd Sikorskiego, i czysto polskich stronnictw zatem niema. Polska jednakże nie przestaje być polską przez to, że w Polsce są i żydzi i jako obywatele współczesnego państwa biorą udział w życiu politycznym państwa polskiego. Jeżeli zaś Polska w pojmowaniu naszych nacjonalistów jest Judeo-Polską dla tego, że żydzi mają zbyt wielkie wpływy w państwie naszym dzięki liczebnej sile i potędze ekonomicznej, to nie trudno chyba zrozumieć, że te wpływy będą tem potężniejsze, im słabsze będzie Państwo Polskie. Wszystko zatem, co osłabia moc i autorytet państwa polskiego — dzisiejszego państwa bo innego niema, — wszystko to pracuje na korzyść Judei, a nie Polski, chociażby najpatryjotyczniejsze hasła przykrywały tę robotę destrukcyjną.

To co dziś widzimy, nie jest jeszcze Polską o której marzyliśmy, — pisał Niewiadomski, a za nim powtarzają jego zwolennicy. Każdy, kto ma jakikolwiek bądź ideał, nie zadawalnia się tem, na co oczy jego patrzą, ale czy stąd wynika prawo burzyć dziś istniejące państwo polskie, po to aby na gruzach jego powstało nowe więcej odpowiadające naszym ideałom. Tak może myśleć nie patryjota, lecz tylko komunista — internacjonalista, który stoi na gruncie walki klasowej i któremu o państwo w granicach narodowych wcale nie chodzi.

Twierdzenie, że Polski nie ma jeszcze, bo ta, którą widzimy, nie odpowiada naszemu ideałowi, jest najbardziej antypatryjotycznym i antypaństwowym sofizmatem i zdradza ten duch anarchizmo-indywidualistyczny, który już raz zgubił Polskę — stary duch rokoszu, i liberum veto. „Jeżeli Polska nie jest taką jakiej ja chcę, to niech wcale jej nie będzie, jeżeli nie ma moich przywilejów i mojej złotej wolności, to niech wszystko ginie — mówi ten duch, który dawną Polskę zgubił a w nowej pokutuje.

Gdy się trumna wiekowa rozwarła i Polska zmartwychwstała, to wyszedł z grobu ten upiór przeszłości — duch polskiej anarchji. I on to ręką Niewiadomskiego strzelał do Polski, bo Polska nie taką zmartwychwstała jakiej jemu się chciało. I mógł ten duch popełnić swój czyn krwawy bo kochał nie Polskę żywą, lecz tylko swoje o Polsce marzenie i myślał, że Polski niema i Polska nie żyje, bo on sam razem z Polską nie zmartwychwstał i życia w nim nie było, i szedł drogą śmierci nie życia.

„Piers znowu tchnęła, lecz piers lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem —
Na świecie znowu, ale nie dla świata.
Czem że ten człowiek? — upiorem.

Tak, to upiór polskiej anarchji

„Z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdarła
Usypia znowu w mogile“.

O umarłych mądre powiedzenie rzymskie nakazuje dobrze mówić, albo nie mówić wcale. Ale jeżeli zbrodnię, popełnioną przez umarłego, wynosi się na szczyt bohaterstwa narodowego, lub jeżeli gloryfikuje się śmierć jego i w tej gloryfikacji zapomina się o krzywdzie życiu wyrządzonej, to wówczas ci, co tę krzywdę czują, milczeć nie powinni.

Przedewszystkiem dusze młode, dusze tych, którzy życie nowe tworzyć mają, bronić należy przed gloryfikacją tego, kto choć śmierć mężnie spotkał, ale wobec życia ciężko zawinił, bo szedł drogą śmierci...

„Kaźde krwawe w dziejach imię,
Ach, nosiła mierna dusza!
Słaby tylko rzeź wybiera!
Czy mu imię jest — Marjusza
Czy mu imię — Robespiera“.

I nawet wielka odwaga w obliczu śmierci z duszy zabójcy nie robi wielkiej duszy; i jeżeli nawet przez własną krew zmywa się z duszy plama niewinnej krwi przelanej, i dusza ta może rozgrzeszenie otrzymać, to jednakże krew ta nie zapładnia życia.

I grzech wielki wobec życia popełniają ci, którzy zatruwają dusze młode kultem krwawej i tragicznej postaci Niewiadomskiego.

Nie o przeszłości i życiu, lecz o przeszłości i śmierci mówi ta postać. Tacy, jak on śmierć Polsce niosą, do nich to można zastosować słowa wieszczka:

Oni Ciebieby rozdarli
Ciebie przyszłą — ci z przeszłości
Ciebie żywą — ci umarli,
Co nie wejdą do twych włości!“

Leon Kozłowski.

Uwagi nad exposé prezydenta ministrów Sikorskiego.

II*).

Podstawowe te problemy, których należyte zrozumienie i wykonanie przez rząd i społeczeństwo rozpocząć może istotnie nową erę naszego narodowego rozwoju i położyć podwaliny pod przyszłą potęgę państwa, zamykają jeszcze trzy ogólne uwagi, jedna natury politycznej, druga socjalnej, trzecia kulturalnej, których realizacja może się znacznie przyczynić do uzdrowienia stosunków w naszym państwie.

Pierwsza to postulat zniszczenia ostatnich, szczątkowych objawów z epoki zaboru i ucisku, z epoki konspiracji i walki z wrogiem, obcym rządem. Pewne stronnictwa nasze, zakonspirowane pod knutem rosyjskim i niemieckim, kontynuują w istocie dalej tajną politykę i propagandę, uzbrajają bojówki, inscenizują zamachy i organizują faktycznie państwo w państwie, arogując sobie monopol patryjotyzmu — jak za najlepszych gu-

*) Patrz № 5 „Tyg. Pol.“

bernatorskich czasów! Fakt wskrzeszenia Polski i istnienia rodzimego sejmu i rządu zdaje się u nich zupełnie nie wchodzić pod uwagę. Żądza władzy i odgrywania jakiejś specjalnej roli nie pozwala im abdykować na rzecz odrodzonej ojczyzny. Takie przeżytki stanowczo trzeba zniszczyć i dla powagi rządu i dla bezpieczeństwa państwa.

Druga uwaga dotyczy zrównoważenia stosunku między pracą a płacą, Premier wskazuje słusznie na szkodliwą pod względem materialnym i moralnym dysproporcję między wymaganiami a efektem pracy. Wszędzie mowa tylko o coraz większych zarobkach i przywilejach, rozwija się na ten temat agitacja, a brak dotąd zdecydowanej propagandy za zwiększeniem wydajności pracy i zwalczaniem powojennego lenistwa, rozwielenionego we wszystkich warstwach. Należałoby jaknajwiększy położyć nacisk na postulat „wypełniania kontraktu“ we wszystkich kwestjach dotyczących pracy, to znaczy, że państwo i społeczeństwo powinno występować nietylko w obronie pracowników wobec pracodawców, ale tak samo i naodwrot — według sprawiedliwości i stosownie do przyjętych kontraktem zobowiązań. Dotychczasowa bowiem jednostronna praktyka przewraca tylko w głowie szerokim masom, pogarsza wydajność pracy ilościowo i jakościowo i przyczynia się do demoralizacji najmniej świadomych.

Trzecia uwaga podnosi ważność szkolnictwa elementarnego. Złośliwy wykrzyk jednego z nieprzejednanych określił ten ustęp przemówienia premiera mianem demagogji. Nie warto nawet nad tem rozprawiać, wystarczy wskazać na dominujący przykład naszych zachodnich sąsiadów: Mówią tam — i słusznie — że nauczyciel pruski wygrał wojnę 1870 roku. Tak, szkoła ludowa to potężne narzędzie w ręku tych, którzy nią rządzą. Urabiając najmłodsze pokolenie, urabia naród, kładzie podwaliny jego przyszłego rozwoju, tężyzny i kultury. Wszelkie projekty zasadniczych reform w społeczeństwie, zwłaszcza wspomniany wyżej doniosły program celowego przekształcenia psychiki narodowej w imię wymogów nowoczesnej epoki i najżywoźniejszych interesów Ojczyzny, wówczas dopiero znajdują u nas silny grunt i podstawę, jeżeli oprą się o szkołę ludową. Ona powinna szczepić na każdym kroku w młode umysły tę podstawową ideę solidarnej, karnej i celowej pracy dla dobra kraju, tej konsekwentnej metody działania, wiodącej z pokolenia na pokolenie Ojczyznę do coraz większej potęgi i rozkwitu. Ona powinna też plenić szkodliwe przeżytki przed i porobiorowe i kształtować nowoczesny typ Polaka, taki, jakiego dzisiaj państwu naszemu potrzeba.

Przez całą wielką mowę premiera ciągnie się jedna czerwona nić: konieczność sprawnego wykonania wszystkich podniesionych postulatów. Zadanie to, najtrudniejsze ze wszystkich, zwłaszcza w nowopowstałym państwie, zapoczątkowuje gen. Sikorski z miejsca, zapowiadając w krótkich terminach wniesienie szeregu ustaw i przeprowadzenie reform, gdzie indziej już nawet rozpoczętych. Wogóle całe to nadzwyczaj jasne, konkretne ujęcie naszych podstawowych kwestji politycznych, społecznych i administracyjnych, przy pominięciu zbyt daleko idących programów i obietnic, oraz ta niezwykła energia bezpośredniego wykonania,

jaka bije z każdego słowa i zamierzenia premiera, mogą istotnie porwać każdego, przemęczonego i zniechęconego dotychczasowym niezdecydowaniem naszych rządów.

Ale ta niezmiernie cenna nić czerwona, ta jasność i decyzja, zaciera się nieco — wyznać musimy — w ustępach, poruszających kwestje ekonomiczne, zwłaszcza tak pierwszorzędną dla nas sprawę sanacji skarbu i waluty. Kładzie tu mówca nacisk na oszczędność, jako źródło wszelkiej dobrej gospodarki, na konieczność doprowadzenia budżetu do równowagi, oraz na energiczne zwalczanie drożyzny i rabunkowego wywozu. W ślad za tem zapowiada możliwie rychłe uregulowanie waluty i wzywa obywateli do ofiarności na rzecz skaubu.

Otóż ten sposób ujęcia sprawy budzi wątpliwości. A budzi je nie z punktu widzenia jakiegokolwiek teorii ekonomicznej, ale wskutek dotkliwego doświadczenia tych czterech pierwszych lat niepodległości. Nie znamy szczegółów programu finansowego rządu, ale tego, co zapowiada nam exposé, próbowano już dotąd na różne sposoby, zawsze niestety z ujemnym wynikiem. Mamy przekonanie — a stwierdza je historia finansowa wszystkich państw nowożytnych — że w państwie o silnie zdewaluowanej walucie i nadmiernej inflacji, sanacja skarbu i budżetu nie może być przesłanką, lecz dopiero skutkiem bezpośrednioj sanacji waluty. Sprawdziło się u nas dotąd aż nazbyt wymownie to, co było w innych państwach w podobnych warunkach, że mianowicie wszelkie usiłowania i paljatywy rządu, zmierzające do poprawy skarbu i waluty, były daremne, dopóki nie zreorganizowano nanowo systemu walutowego przez stworzenie stałego miernika, odpowiedzialnej instytucji emisyjnej i odpowiedniego podkładu dla wypuszczanych przez nią banknotów.

Niepodobna, zdaniem naszym, które potwierdza zresztą dotychczasowe doświadczenie, stabilizować pieniądza i równoważyć budżetu na podstawie waluty, która nie ma żadnej określonej wartości, która wskutek tego uniemożliwia jakąkolwiek kalkulację. Byliśmy świadkami, jak wszelkie pożyczki i podatki tonęły po kolei w bezdennej studni dewaluacji i jesteśmy w dalszym ciągu świadkami wzrastającej w geometrycznej progresji drożyzny, która zdaje się drwić sobie ze wszelkich zamierzeń zapobiegawczych. Koszt utrzymania przeciętnego gospodarstwa prywatnego w Warszawie, który wynosił z początkiem 1919 r. 1000 mk., wzrósł w r. 1920, do 5.000 mk., a r. 1921 do 20.000 mk., w r. 1922 r. do 150.000 mk., a z początkiem obecnego roku do 1.500.000 mk. Rezultat więc jest taki, jakgdyby nic nie robiono przez ten czas w kierunku sanacji, a robiono przecież wiele, zwłaszcza pod względem oszczędności, unormowania podatków, wzmożenia wytwórczości i podniesienia bilansu handlowego.

To powinno nareszcie otworzyć oczy i spowodować zasadniczy zwrot w naszej polityce finansowej, zwrot w kierunku zdecydowanej, *bezpośredniej* reformy walutowej: stworzenia akcyjnego banku emisyjnego. Żądana ciągle ofiarności obywateli będzie z pewnością bezcelową na wszelkie inne usiłowania, bo dostateczne mieliśmy już na to dowody. Natomiast żadna ofiara, publiczna czy prywatna, nie powinna być uważana za zbyt

wielką, o ile chodzi o stworzenie podstaw i podkładu wymienionego banku, odpowiedzialnego nie de nomine, ale de facto za wartość wypuszczanych banknotów. Nałożenie możliwie największej daniny, zastaw kapitalistom zagranicznym monopolów, kolei i innego majątku państwowego aby ściągnąć do kraju złoto i wysoką obcą walutę i razem ze skarbem kruszcowym P.K.K.P. stworzyć podkład dla nowej emisji—to wszystko nie jest za wiele, aby raz nareszcie wybrnąć z tej nędzy, która rujnuje kraj, krępuje nasz rozwój ekonomiczny i polityczny, demoralizuje społeczeństwo w najwyższym stopniu i wydaje nas na łaskę i niełaskę paskarzy i wszelkich wrogich czynników. Bezwartościowa, na żadnym podkładzie i żadnej faktycznej odpowiedzialności nie oparta marka polska jest głównym źródłem wszelkich naszych niedomagań i niesprawności, wspomnianej przez premiera, a przede wszystkim największym hamulcem w „wykonaniu“, którego się on tak domaga.

Dlatego pozwalamy sobie stanowczo twierdzić, że po tylu ujemnych doświadczeniach powinien rząd postawić nareszcie na czele swego programu bezpośrednią sanację waluty, bez zastrzeżeń i przesłanek i odrożyć w tym celu bez zwłoki akcję w sejmie, społeczeństwie i za granicą.

Wówczas i walka z drożyzną zacznie być skuteczną. Nie łudźmy się bowiem, że w dzisiejszych warunkach rząd, chcąc ściągnąć przestępców drożyznianych, musiałby chyba ściągnąć całe społeczeństwo bez wyjątku, każdy bowiem, dokonując jakiejś transakcji sprzedażnej, stara się zgarnąć za to z dnia na dzień jaknajwięcej tych kolorowych papierków, zwanych u nas banknotami, gdyż nie wie, jaką one będą następnego dnia przedstawiać wartość i żyje w uzasadnionej obawie, że już następnych transakcji za tę samą cenę nie będzie mógł dokonać. I to jest istotnym powodem nieograniczonego wzrostu drożyzny.

Podobnie nie możemy przyjąć bez pewnych zastrzeżeń poglądu, wyrażonego w exposé, na traktowanie spraw przemysłowych. Słusznym jest

oczywiście zapatrywanie, że w państwie, będącym w tak smutnym położeniu ekonomicznym, wskazana jest największa oszczędność i odłożyć trzeba na później niejedno najlepsze zamierzenie. Nie powinno to jednak bezwarunkowo dotyczyć zamierzeń wytwórczych, rentownych, stwarzających w kraju nowe realne wartości i zaspakajających wielkie nasze zapotrzebowanie. Wytwórczość bowiem najlepiej może podnieść dochody państwa, a kreacja nowych placówek wytwórczości przyczyni się do ulokowania w realnych wartościach pieniądza, przetrzucanego dziś nieproduktywnie z rąk do rąk w spekulacyjnych obrotach, wśród ustawicznych strat na wartości i nieuchwytnego dla podatków.

Nie wydaje nam się również racjonalnym fortytowanie przy udzielaniu pomocy finansowej rządowi przedsiębiorstw przemysłowych „najsprawniej funkcjonujących“. Takie bowiem przedsiębiorstwa mają się dziś bardzo dobrze, posiadają olbrzymie rezerwy i znajdują zawsze prywatny kredyt w kraju i za granicą, mają także możność zdobycia w danym razie dalszych funduszy drogą nowej emisji akcji, rozchwytywanych przez publiczność. Dadzą sobie one radę bez pomocy rządowej, która byłaby właśnie taktyką „nadmiernego wzbogacania“ przedsiębiorstw, jakiej premier chce uniknąć. Popierać trzeba natomiast nowe, energicznie i celowo zapoczątkowane przedsięwzięcia wytwórcze, uzupełniające ważne luki w produkcji krajowej i niezależniące temsamem państwo od zagranicznego importu.

Ale i najważniejsze poparcie produkcji bez poprzedniego unormowania waluty nie wyda należytych rezultatów, a potęgować będzie jeszcze tylko wspomniane przez premiera zjawisko wywozu polskiego kapitału i pracy za granicę. I to więc popiera również naszą tezę konieczności bezpośredniej sanacji waluty, jako podstawowego warunku skuteczności wszelkich zamierzeń rządowych w zakresie wielkiego programu naprawy Rzeczypospolitej.

Jan Bobrzyński.

LEW TOŁSTOJ.

OJCIEC SERGIUSZ.

III.

W dniu Matki Boskiej Siewnej Kasatski wstąpił do klasztoru.

Przeor klasztoru był szlachcicem, uczonym pisarzem i *starcem*, t. j. należał do tej, wiodącej się z Wałachji linii mnichów, którzy bezgłośnie poddają się rozkazom obranego kierownika i mistrza. Przeor był uczniem znanego starca Ambrożego, ucznia Makarego, ucznia starca Leonidasa, ucznia Paisja Wielickowskiego. Temu przeorowi, jako swemu starcowi, poddał się Kasatski.

Prócz uczucia świadomego swej wyższości, jakiego doznawał Kasatski w klasztorze, Kasatski tak samo, jak we wszystkim, co czynił w klasztorze znajdował uciechę wosiąganiu największej zarówno zewnętrznej jak i wewnętrznej doskonałości. Podobnie jak w pułku był on nie tylko oficerem bez zarzutu, lecz takim, który robił więcej, niż było wymagane, rozszerzając poniekąd

ramki doskonałości, tak samo i mnichem starał się być doskonałym, pracowitym, wstrzemięzliwym, pokornym, łagodnym, czystym nie tylko w postępkach lecz i w myślach, wreszcie posłusznym. Szczególnie ta ostatnia zaleta czy doskonałość ułatwiała mu życie. O ile mnogie wymagania zakonnego życia w klasztorze licznie odwiezdzanym nie podobały się jemu, wystawiały na pokusę, to wszystko to przekreślała pokora: nie moja rzecz rozumować, moją rzeczą wykonywać co każą, bez względu na to, czy będzie to pełnienie warty przy moszczach*), czy śpiewanie na chórze, czy wreszcie prowadzenie rachunków w klasztornym zajeździe. Wszelką możliwość wątpienia w cokolwiek uchylało to właśnie posłuszeństwo w stosunku do starca. Gdyby nie posłuszeństwo, o jakże ciężkie byłyby dlań do zniesienia i przewlekłe a monotonne msze cerkiewne i niepokój wnoszony przez odwiedzających klasztor, i inne ciemne strony zakonnego żywota. A tak, wszystko to nie tylko pogodnie się znosiło, lecz było nawet pociechą i podtrzymaniem w życiu. „Nie wiem, w jakim celu trzeba wysłuchiwać po

*) Moszcze — ciała świętych, które nie uległy rozkładowi.

Ç A I R A.

Anglik, jako zagadnienie.

Pamiętamy ten napad nienawiści przeciwko Anglikom, jakiemu uległy Niemcy po wybuchu wojny światowej, gdy okazało się, że na czele koalicji przeciwnieckiej stanęła Wielka Brytania.

Pamiętamy furję Maxa Shelera, który w drodze studjów psycho-socjologicznych udawał, że duch i charakter Anglika jest kuźnicą szatana.

We Francji, natomiast, nie było podówczas końca zachwytom nad skarbami prawości, jasnoty i rycerstwa, jakie mieści w sobie właśnie psychika wielkobrytyjska.

Zdawać się mogło wtenczas, że wojna tak straszna, tak długotrwała, ryjąc przepaść między przeciwnikami, zwiąże nazawsze węzłami przyjaźni i braterstwa towarzyszków broni, we wspólnym walczących obozie.

Co więcej: że ta przyjaźń i to braterstwo na trwałych, niepożytych oprze się podwalinach.

Traktaty, pisane atramentem przez dyplomatów, mogą stać się świstkami papieru, ale traktaty zgody i braterstwa, krwią narodów wypisane na obliczu ziemi, przysięgi wierności zamieniane w obliczu śmierci, zdawały się owemu dziełu zgody i zespolenia wróżyć przyszłość, w dalekie sięgającą pokolenia.

Niestety, chwila obecna wskazuje, że nic niema trwałego w fundamentach, na których entuzjaści ludzkości usiłują budować przymierza państw i narodów. Krwi, przelanej na stu wspólnych pobożowskich, nie starczyło na scementowanie kilku cegieł w gmachu przyjaźni anglo-francuskiej. To, co zdawało się zorzą wschodzącego braterstwa, było tylko refleksem chwilowej wspólnoty interesów, załamaniem chwilowej zbieżności antagonizmów.

Dziś, kiedy Niemiec z coraz rosnącą ufno-

ścią zwraca się w stronę Albjonu, w sercu Francuza, przeciwnie, dawna ku Anglii życzliwość wygasa i ustępuje miejsca podejrzliwemu krytycyzmowi, a nawet wręcz nieprzyjaznej odporności.

Co gorsza! Po czterech latach wspólnej wojny, po czterech latach wspólnych targów powojennych, Francuz dochodzi do wniosku, że prawdziwe, istotne Anglika oblicze pozostaje mu nieznane, niedostępne, obce i zagadkowe.

I podobnie — jak, kilka lat temu, dla Niemiec, tak obecnie dla Francji, Anglik staje się zagadnieniem. Zagadnieniem trudnym do rozgryzienia, wyzywającym i groźnym, jak Los.

Kilkanaście lat temu — * opowiada świetny pisarz paryski, Józef Galtier, — przypadek zetknął mnie z pewnym młodym dyplomata angielskim. Było to w jednej z restauracji Hampton Court w Londynie. Z trudem udało mi się znaleźć skrawek wolnego miejsca przy stoliku, którego połowę zajął już był poprzednio jakiś gość, oczywiście Anglik.

W podobnej okoliczności — robi uwagę paryżanin — w innych krajach wywiązuje się sama przez się gawęda między przypadkowymi towarzyszami obiadu. Ale nie w Anglii. W Angli, skoro nie jesteś przedstawiony, możesz go dzinami siedzieć naprzeciw współbiedniaka, który do ciebie słowa nie przemówi. Nie istnieje dla niego. Jakież więc było zdumienie Francuza, gdy sąsiad zaofiarował mu uprzejmie swe usługi.

— Ma pan trudność — ozwał się — z wyborem potraw. Domyślam się, żeś pan nie tu tejszy. Przybywasz zapewne z tamtej strony Kanału. Jeżeli mogę być panu pomocny w czemkolwiek...

Gość francuski skorzystał z uprzejmości sąsiada. Przekonał się, że tenże mówi biegle po francusku, że pracuje w Foreign Office, że jako attaché zajmował rozmaite posterunki dy-

kilka razy na dzień wciąż te same modlitwy, lecz wiem, że tak trzeba. A wiedząc, że tak trzeba, znajduję w nich uciechę". Starzec powiedział mu, że tak, jak niezbędnym jest materialny pokarm dla podtrzymania życia — tak samo koniecznym jest pokarm duchowy — cerkiewna modlitwa — dla podtrzymania duchowego życia. Wierzył w to, i istotnie, msza, na którą z trudem czasem zwlekał się o świcie, przynosiła mu niewątpliwe uspokojenie i radość. Radością napawała świadomość ukorzenia się i niewątpliwej celowości czynów, wszystkich zgóry określonych przez starca. Sens życia zaś polegał nie tylko na coraz to większym i większym wyzbywaniu się swej woli, na coraz to większej i większej pokorze, — lecz sens ten leżał i w osiągnięciu wszystkich cnót chrześcijańskich, które narazie zdawały mu się być łatwo osiągalnymi. Majątek swój cały oddał siostrze i nie żałował go; lenistwa w nim nie było; ukorzenie się przed niższymi od siebie było dlań nie tylko rzeczą łatwą, lecz przynosiło mu radość. Nawet zwycięstwo nad grzechem pożądania zmysłowego przyszło mu z łatwością. Starzec szczególnie przestrzegał go przed tym grzechem, i Kasatski cieszył się, że był od niego wolny.

Męczyło go tylko wspomnienie o narzeczonej. I nie tylko wspomnienie, lecz wyobrażenie żywe tego, co mogłoby być. Mimowoli myślał o znajomej... która wyszła w następstwie zamąż i została doskonałą żoną, matką rodziny. Mąż zaś jej otrzymał wysoką nominację, posiadał i władzę, i szacunek, i dobrą, pełną skruchy żonę.

W dobrych chwilach Kasatskiego nie nawiedzały te myśli. Gdy się w tych chwilach oddawał wspomnieniom — cieszył się, że się uwolnił od tych pokus. Lecz bywały chwile, gdy nagle wszystkiemu to, czem żył, mroczyło się, gdy przestawał nie tyle wierzyć w to czem żył ile przestawał to widzieć, nie mogąc wywołać w sobie tego, czem żył, wreszcie gdy wspomnienie i — strach rzec — uczucie żalu za przeszłością ogarniały go.

Ratunkiem w tym wypadku była pokora — praca — i dzień cały wypełniony modlitwą. Jak zazwyczaj, modlił się, wybijał pokłony, modlił się nawet więcej niż zwykle, lecz modlił się ciałem — duszy w tej modlitwie nie było. Trwało to dzień, czasem dwa, a potem samo mijało. Lecz dzień ten czy dwa były straszne. Kasatski czuł, że nie jest ani pod swoją ani pod Bożą władzą, lecz pod czyjąś obcą. I wszystko, co mógł robić

plomacyjne za granicą. Znał Hiszpanję, wiele lat również spędził we Francji.

Gdy jednak paryżanin, odwzajemniając się Anglikowi za uprzejmość, gorąco winał mu tych lat, spędzonych w obcych krajach, lat, które dostarczyć musiały wątku do przeżyć ciekawych i malowniczych, dyplomata angielski zamilkł nagle i spoępniał.

— Nie cieszą mnie te lata — odparł po chwili — przeciwnie, żal mi ich, jak skarbu strwonionego. Odjęły mi one to, co było moją wartością. Przestałem być tym, kim byłem. Przestałem na kraj swój patrzeć temi samymi, co dawniej, oczyma. Oczyma rasowego Anglika. Widzisz pan, Anglik, właściwie, nie powinienby wcale podróżować. Powinien stałe przebywać na swej wyspie. Wtenczas tylko może on zachować swe przesady, które stanowią jego siłę, które tłumaczą całą jego historję. Teraz wydaje mi się, jakgdybym utracił swe złudzenia, a wraz z niemi swoją moc. Teraz czynię porównania, dostrzegam różnice, błędy: jestem Anglikiem o podciętych korzeniach.

Ten opowiedziany przez Galtiera epizod nie tylko Francuzom dać musi wiele do myślenia. Niema bowiem dzisiaj na kuli ziemskiej narodu, któryby tak lub inaczej z Anglią się nie stykał. Anglija po wojnie wstąpiła w stan wszechobecności. Przed Anglią uciec nie podobna.

Uciec przed nią trudno, ale jeszcze trudniej dotrzeć do jej duszy.

Anglik bywa wszędzie obecny: podróżuje po całym globie, oddycha wszystkimi oceanami. Atoli podróżując nie opuszcza rodzimej wyspiarskiej atmosfery: zachowuje tradycję i przesady, stanowiące treść, stanowiące potęgę jego charakteru.

Iluz Anglików rokrocznie odwiedza ziemię francuską? Iluz z pośród nich spędza na niej swe najpiękniejsze lata? Setki tysięcy ich prze-

robił w tym okresie, było to, co radził starzec: trzymać się, nic nie robić w takich chwilach i czekać. Wogóle przez cały ten czas Kasatski żył nie podług własnej woli, a podług woli starca, i w posłuszeństwie tem było specjalne ukojenie.

W ten sposób przeżył Kasatski w pierwszym klasztorze, do którego wstąpił, siedem lat. Przy końcu trzeciego roku był postrzyżony z braciszka na mnicha i dostał imię Sergjusz. Postrzyżyny były ważnem wewnętrznem zdarzeniem dla Sergjusza. I przedtem doznawał on wielkiej pocięchy i podniesienia ducha przy komunji; teraz zaś, gdy przyszło mu samemu odprawiać mszę, dokonanie aktu komunji doprowadziło go do zachwytu, do stanu błogości. Lecz z czasem uczucie to coraz bardziej i bardziej przytępiało się i gdy pewnego razu wypadło mu odprawiać mszę w takim stanie pragnienia duchowego, jakie się u niego zdarzały, poczuł, że i to przejdzie. I rzeczywiście uczucie to osłabło, a zostało przyzwyczajenie.

Wogóle w siódmym roku swego życia w klasztorze Sergjusz odczuł nudę. Wszystko, czego się trzeba było nauczyć, wszystko, czego trzeba

winęło się przez Francję podczas wojny. Gdy jednak, po wojnie, wrócili do ojczyzny, uczyli się tymi samymi twardymi Anglikami, nietkniętymi w rdzeniu swej istoty, jakimi przyszli na świat. Nawet kąpiel krwi nie zmienia tętna ich życia.

Ów Anglik, z którym poznał się Józef Galtier w Londynie, anglik tknięty i „zarażony“ obczyzną, należy do wyjątków w swym narodzie i, jako wyjątek, uwydatnia zasadę powszechną.

Obcość, szczelność nieprzeniknioną, niedostępność duszy Albionu spostrzega dzisiaj Francja z rozszerzonymi od zdumienia i zgrozy oczyma.

Swoisty, odrębny, obcy charakter Anglika spostrzega wraz z Francją cała Europa.

Wojna z przerażającą oczywistością dowiodła, jak bardzo, jak bezgranicznie ludy nawzajem się nienawidzą.

Czasy powojenne dobiły na jaw rzecz jeszcze okropniejszą, wykazując, jak mało nawzajem znają się ci, którzy potrafią tak bezgranicznie się nienawidzić.

Er Zet.

MARJAN DUBIECKI

z powodu 85-ej rocznicy urodzin.

III.

(Ciąg dal.)

W dniu 26 lipca zapoznał się Dubiecki z pułkownikiem Romualdem Trauguttem, który przybył właśnie do Warszawy z daleko idącymi zamiarami i szukał bezpośredniego porozumienia się z Rządem. Wypadkowo, gdyż teren działania jego raczej należał do Wydziału Litwy, zwrócił się był on właśnie do Dubieckiego z prośbą o skomunikowanie z Wydziałem Wojny. Dubiecki obiecał. Traugutt od pierwszego wejrzenia zrobił na nim duże wrażenie. Intuicja istotnie go nie omyliła. Stał się w ten sposób sprawcą doniosłego, a błogosławionego w skut-

było dopiąć — dopiął, i więcej nie było nic do zrobienia.

Ale za to stan uspienia stawał się wciąż głębszy i głębszy. W tym czasie dowiedział się o śmierci matki i o zamążpójściu Mery. Obydwie wiadomości przyjął obojętnie. Cała uwaga, wszystkie jego czyny były skoncentrowane w orbicie własnego wewnętrznego życia.

W cztery lata po postrzyżynach archirej szczególnie go wyróżnił, a starzec rzekł mu, że nie powinien odmawiać się, jeśli go zamianują na wyższe stanowiska. I wówczas ambicja zakonna, ta sama, której tak nie znosił u mnichów, podniosła w nim głowę. Wyznaczono go do pobliskiego od stolicy klasztoru. Chciał odmówić lecz starzec kazał mu przyjąć nominację. Przyjął ją, pożegnał się ze starcem i wyjechał do innego klasztoru.

To przeniesienie się do stołecznego klasztoru było ważnem zdarzeniem w życiu Sergjusza. Pokus wszelakiego rodzaju była moc wielka i wszystkie siły Sergjusza były skierowane przeciwko nim.

W dawnym klasztorze pokusa kobieca mało dokuczala Sergjuszowi, tu zaś pokusa ta urosła

kach zdarzenia. Porozumiawszy się z członkami Rządu, w cztery dni potem, 31 lipca, przedstawił Traugutta Wydziałowi Wojny. Dubiecki stanowczo aprzecza pogłosce, jakoby Rząd sprowadził go w specjalnym jakim celu. W zdarzeniu tym upatruje jedynie zrzadzenie losu.

Traugutt wywarł na wszystkich członkach Rządu wrażenie dodatnie, choć dotychczas znany był ledwie ze słyszenia, z racji bohaterskich walk w Kobryńskiem i w Pińszczyźnie. Uderzał odrazu „bystrością orjentowania się w sytuacji, jasnym sądem i wytrawności zdania“, ujmował niezwykłą prostotą obejścia. Tem nie mniej przez pierwsze dni pozostawiono go na uboczu. Nie odrazu nim się należycie zainteresowano i nie odrazu wyuczono jego intencje. Wolny ten czas nie poszedł wszakże na marne: zapoznawał się szybko z organizacją i sprawami powstańcami i szybko orjentował się w sytuacji.

Długie zwłaszcza godziny spędzał z Dubieckim w jego zacisznym mieszkanku na Podwalu w domu Zajdlera. Obcowanie i szczere rozmowy zacieśniały więzy tych ludzi, łącząc ich stopniowo nierozdzielnie przyjaźnią.

Tymczasem Rząd, oceniwszy należycie wartości, jakie mógł wnieść Traugutt do jego pracy, postanowił kooptować go do swego grona, jako wytrawnego i doświadczonego oficera. Lecz nim powzięto uchwałę w tym względzie postanowiono go wysłać za granicę na inspekcję placówek wojskowych i dyplomatycznych, dla lepszego zapoznania go z warunkami politycznymi sprawy powstańczej. 14 sierpnia Traugutt został mianowany generałem i komisarzem nadzwyczajnym Rządu, a już dnia następnego opuścił Warszawę, udając się przez Kraków na Zachód.

Dubiecki w tym czasie, z powodu ciężkich warunków materialnych, gdyż uposażenie rządowe nie było w stanie całkowicie zabezpieczyć mu egzystencji, był zmuszony przyjąć lekcje

historji w II gimnazjum, oraz w t. zw. ogólnej pięcioklasowej szkole filologicznej. Lecz było to jedyne zajęcie, które odrywało go od spraw urzędu; było jednakże niezbędną dlań w wytężonej i denerwującej pracy organizacyjnej rozrywką umysłową.

Po wyjeździe Traugutta Rząd Majewskiego niedługo pozostał u steru. 17 września, pod naciskiem żywiołów skrajnych, uznających terror, jako najskuteczniejszą metodę walki, złożył władzę, którą po pewnych tarcjach ostatecznie ujął t. zw. „Rząd wrześnieowy“ z Ignacym Chmielewskim. Przesilenie to było już wyrazem znacznego znużenia, zniechęcenia, a może i utraty wiary w pomyślność walki. I ten Rząd nie polepszył sytuacji, a nawet przeciwnie, znacznie ją utrudnił. Po nieudanym zamachu na namiestnika Berga, ściągnął na organizację szereg bezwzględnych represyj. Wkrótce okazało się, że ta metoda działania nie doprowadzi do porządkanych rezultatów. Odwetowe represje, sięgając coraz głębiej, czyniły coraz większe spustoszenie, coraz boleśniejsze straty, a w rezultacie coraz większy upadek ducha. Organizację zaczęła opanowywać anarchja. Myśl wszystkich, którzy chcieli ratować sprawę, zwracała się ku Trauguttowi.

Traugutt tymczasem był już w drodze powrotnej z Paryża, gdzie zawarł bliższą znajomość z przedstawicielem dyplomatycznym Rządu Władysławem księciem Czartoryskim. Jak wieść głosi miał nawet audjencję u Cesarza Napoleona. Wtedy, poznawszy i oceniwszy na miejscu naszą sytuację polityczną poza granicami kraju, powziął, zachęcany przez Czartoryskiego zamiar i postanowienie objęcia władzy i pokierowania jej w myśl własnej koncepcji politycznej. Osnową jej główną było dociągnięcie wojny do wiosny za tę bowiem cenę miał obiecaną interwencję Francji. Następstwem zaś bezpośrednim tego było zerwanie z żywiołami rewolucyjnymi w Europie, które dotychczas jed-

niesłuchanie i doszło do tego, że znalazła nawet swój kształt konkretny. Pewna znana ze swego złego prowadzenia dama zaczęła kokietować Sergjusza. Rozpoczęła z nim pierwszą rozmowę i prosiła, by ją odwiedził. Sergjusz odmówił surowo — lecz przeraził się konkretnego kształtu swego požądania. Przeląkł się tak, że napisał o tem do starca. Mało tego — w celu poskromienia siebie, przywołał swego młodego braciszka i przez wywyższy wstyd, przyznał się mu do swej słabości, prosząc, by śledził go i nie puszczał nigdzie, prócz mszy i spowiedzi.

Pozatem wielką pokusę dla Sergjusza stanowiło to, że przeor klasztoru tego, świecki, sprytny człowiek, robiący duchowną karierę, był w najwyższym stopniu antypatyczny dla ojca Sergjusza. Napróżno walczył ze sobą Sergjusz, niemogąc pokonać tej antypatji. Korzył się lecz w głębi duszy nie przestawał osądzać. I złe to uczucie wybuchło.

Stało się to już w drugim roku pobytu jego w nowym klasztorze. I stało się oto tak. Na Matkę Boską Siewną odbywało się całonocne nabożeństwo w wielkiej cerkwi. Przyjezdnych była moc. Mszę odprawiał sam przeor. Ojciec Sergjusz

stał na zwykłym swem miejscu i modlił się, t. j. znajdował się w tym stanie walki, w jakim znajdował się zawsze podczas mszy — szczególnie w wielkiej cerkwi — gdy nie on sam ją odprawiał. Walka polegała na tem, że go drażnili obecni, panowie, szczególnie damy. Starał się nie widzieć ich, nie zwracać uwagi na wszystko, co się działo wokół, nie widzieć tego, jak żołnierz przeprowadzał ich, rozpychając lud, jak damy pokazywały sobie wzajem mnichów, często jego nawet i znanego urodziwca — mnicha. Starał się, nakładając jakby wędzidła swojej uwadze, nie widzieć nic, prócz blasku świec u ołtarza, obrazów świętych i ministrantów, nie słyszeć nic, prócz śpiewanych i mówionych słów modlitwy, i nie doznawać żadnego innego uczucia, prócz tego samozapomnienia, jakie płynęło ze świadomości wypełnienia obowiązku, jakiego to uczucia doznawał zawsze, ilekroć słuchał i powtarzał naprzód tyle razy słyszane modlitwy.

Stał więc, wybijał pokłony, żegnał się w miejscu, gdzie to było potrzebne i walczył, oddając się to chłodnej analizie wszystkiego, co się działo, to świadomie wywołanemu zamieraniu myśli i uczuć gdy podszedł do niego zakrystjan, ojciec Nikodem,

ne okazywały nam nietylko współczucie, ale i pomoc czynną. Stąd zaczyna się antagonizm Traugutta i Mierosławskiego, wodza i przedstawiciela żywiolów rewolucyjnych polskich.

10 października powrócił Traugutt do Warszawy z gotowym planem działania i z postanowieniem ujęcia w swe ręce władzy najwyższej. Do ostatecznej decyzji głównie przyczynili się rada Majewski i Dubiecki, którzy całkowicie podzielali zapatrywania polityczne Traugutta. Istotnie 17 października Traugutt przybył na posiedzenie Rządu i bez oporu ze strony terrorystów objął władzę Dyktatorską, którą sprawował bez przerwy aż do chwili aresztowania w dniu 10 kwietnia 1864 roku. Wśród współpracowników i towarzyszy, z którymi dzielił odpowiedzialność i myśli swoje wyróżnił Dubieckiego; stał się on jego najzaufanszym powiernikiem, z którym więzy przyjaźni zadziergnał od pierwszego w lipcu spotkania.

Zamieszkali obaj w jednej posesji, istniejącej do dziś dnia, przy ulicy Smolnej Dolnej L. 3. Traugutt zajął kilka pokoi na pierwszym piętrze domu frontowego, Dubiecki — trzy pokojowy lokal w oficynie obok. Ponieważ Dyktator rzadko, zwłaszcza później, opuszczał mieszkanie, Dubiecki był często łącznikiem pomiędzy nim a organami rządowymi. Ścisła ich współpraca, która trwała bez przerwy aż do chwili aresztowania, stała się źródłem wersji, jakoby Dubiecki był sekretarzem Dyktatora. Nie jest to zgodne z faktycznym stanem rzeczy. Sam Dubiecki kategorycznie zaprzecza tego rodzaju wersjom, choć stwierdza, że istotnie był niemal wyłącznym świadkiem wytężonej pracy Traugutta, a czasami jedynym powiernikiem jego myśli i planów. Piękna książka, jaką poświęcił wielkiemu swemu przyjacielowi, pełna uwielbienia dla jego wybitnej indywidualności, utrzymana jest przeważnie w tonie osobistych wspo-

nień ze współzycia z Dyktatorem. Książka ta jest dotąd jedyną, poświęconą tej pełnej ofiarności i tragizmu postaci i pozostanie zawsze pierwszorzędnym źródłem nietylko jego żywota, ale i okresu wojny, któremu on przewodził.

„Po ukończeniu konferencji codziennych, pisze Dubiecki we wspomnianej książce o Traugucie, około 7 lub 8 godziny wieczorem, wracał do swego zacisza dyktator strudzony i wówczas to miał jedyną chwilę wytchnienia, trwającą dwie godziny, czasem nieco dłużej. Wtedy przybywałem do niego, zdając sprawę z udzielonych mi poleceń, przeważnie dotyczących się ciągłych stosunków z Henrykiem Krajewskim, dyrektorem spraw zagranicznych, i następowała długa rozmowa, która po ukończeniu urzędowej wymiany myśli — a sprawy ze mną załatwiał różnorodne, bo polecenia udzielał mi najrozmaitsze z wielorakich gałęzi interesów powstania — wchodziła na tory przyjacielskiej zaiste pogadanki, podczas której dyktator zażywał prawdziwego wytchnienia. Z młodym tym swym domownikiem, z nim jednym tylko, obcując wciąż, przyzwyczał się do niego i miał go za stosunek najbliższy w Warszawie. Zapewne go i dawniej ceniał, gdy polecił mu obok siebie, w oficynie swego lokalu zamieszkać, by nieustannie pod ręką go mieć; lecz półrocze stosunków ciągłych wytworzyło serdeczne zbliżenie na wzajemnym oparte szacunku. Nigdy wszakże nie zapomniałem o różnicy lat i doświadczenia, jakie stały między nami, dlatego też dla Traugutta miałem coś z uczucia synowskiego; ostatni zaś odpłacał mi zaufaniem i szczerą przyjaźnią tę cześć synowską“.

Tak charakteryzuje Dubiecki swój stosunek do Dyktatora i naodwrot. Istotnie, całe życie jego tego okresu związane było najściślej z życiem i losami Traugutta. Obaj ci ludzie do koń-

też wielka pokusa dla ojca Sergjusza — Nikodem, którego mianowali, obwiniał za schlebianie przeorowi — i kłaniając się łamiącym się na dwoje ukłonem, rzekł, iż przeor wzywa go do ołtarza. Ojciec Sergjusz ociągnął habit, włożył czapkę i poszedł ostrożnie przez tłum.

— Lise regardez a droite, c'est lui — usłyszał głos kobiety.

— Où, où? Il n'est pas tellement beau.

Wiedział, że mówiono o nim: słyszał, i jak zawsze w chwilach pokus powtarzał słowa: „i nie wódz nas na pokuszenie“. Spuściwszy głowę i oczy przeszedł obok ambony, minął przechodzących właśnie ministrantów w dalmatykach i wszedł w północne wrota. Wszedłszy na prezbiterjum i zgodnie z obyczajem złożywszy pokłon, żegnając się i zginając we dwoje przed obrazem — podniósł głowę i spojrzął na przeora, którego postać obok innej błyszczącej postaci dojrzał przedtem, kątem oka w przelocie.

Przeor stał przy ścianie, wysunawszy krótkie pulchne rączki z pod ornatu, zwisającego na tłuście ciele i brzuchu i wygładzając galon ornatu, uśmiechał się, oraz — rozmawiał o czemś z wojskowym w mundurze generała świty, z guzami i akselbantami, które odrazu rozpoznał swem wprawmem wojskowym okiem ojciec Sergjusz. Ge-

nerał był to były dowódca ich pułku. Obecnie zajmował widocznie ważne stanowisko i ojciec Sergjusz natychmiast zauważył, że przeor wie o tem i rad jest z tego, i że właśnie dlatego tak promienieje jego czerwone, tłuste oblicze z łysiną. To dotknęło i zmartwiło ojca Sergjusza, i uczucie to jeszcze się wzmogło, gdy usłyszał od przeora, że wezwano go, ojca Sergjusza, nie po co innego, jak tylko po to, by zaspokoić ciekawość generała — zobaczenia swego dawnego kolegi — jak się wyraził.

— Bardzo się cieszę, widząc pana w tych świętych szatach — powiedział generał wyciągając rękę — mam nadzieję, że pan nie zapomniał starego kolegi.

Wszystko: twarz przeora, wśród siwizny czerwona i uśmiechnięta, jakby potakująca temu, co mówił generał, wypieszczona twarz generała z uśmiechem samozadowolenia, odór wina od ust generała i cygar od jego bokobrodów — wszystko to wzburzyło ojca Sergjusza. Skłonił się jeszcze raz przed przeorem i rzekł:

— Wasza wielbność raczyła mnie wezwać?

I zatrzymał się całym wyrazem twarzy i oczu, pytając: po co?

Przeor rzekł:

— Tak, zobaczyć się z generałem.

— Wasza wielbność, odszedłem od świata,

ca już pozostali razem. Zczasem, gdy coraz bardziej zaczęło się umniejszać koło pracowników, kiedy ten i ów, złamany fizycznie lub duchowo, bądź zmuszony do tego okolicznościami natury policyjnej, opuszczał szeregi i wodza, Dubiecki pozostał mu wierny.

Zajmował on wciąż stanowisko sekretarza Wydziału Rusi, choć funkcja ta stała się z chwilą wygaśnięcia powstania na Rusi, już od jesieni raczej fikcyjną. Od marca zaś 1864 roku, po opuszczeniu Warszawy przez Sekretarza Stanu Janowskiego, objął jego urząd, lecz „z posłuszeństwa jedynie” — jak pisze — gdyż już brakło sił.

Powstanie, pomimo nadludzkich wysiłków Traugutta i kilku oddanych jemu dowódców, kloniło się ku upadkowi. Już w początkach 1864 r. było jasnym, iż przeżywa agonję. Napoleon III, wbrew obietnicy, udzielonej Czartoryskiemu i Trauguttowi w czasie jego misji w Paryżu, że udzieli walczącym pomocy, jeśli powstanie wytrzyma do wiosny — oświadczył obecnie, iż interesa Francji wymagają dziś całkowitej neutralności w tej sprawie. Doszła wtedy Traugutta wiadomość, której prawdziwości nie zdążył już stwierdzić, że wobec tego Czartoryski składa urząd agenta dyplomatycznego, przez co zostałby niejako odcięty od świata. Ta katastrofa w polityce zagranicznej Dyktatora była zarazem ostatecznym wyrokiem zagłady na powstanie. Brakło walce dalszej podstawy bytu. Jednoczesny ogólny uradek ducha oraz przesładowania w kraju rozbiły doszczętnie organizację od wewnątrz. Powstanie wyraźnie konało. Trzeba było, aby wódz jego, który wobec kraju i swego sumienia wziął za losy walki odpowiedzialność, w chwili gdy upadało jego dzieło złożył ofiarę najwyższą. Postanowienie takie powziął Dyktator. Władze przy końcu marca były na jego tropie. Słabsi

duchem uwięzieni spiskowcy i prowokatorzy, którzy w tym czasie dostali się do organizacji, wydali jego siedzibę. Traugutt jednak, pomimo ostrzeżeń, nie chciał opuścić posterunku.

Na parę dni przed aresztowaniem, w godzinach przedpołudniowych, Dubiecki w czasie pogawędki w mieszkaniu Traugutta „podniósł kwestję, którą kilkakrotnie podnosił w swych z dyktatorem rozmowach, że gdy wszystko upada, gdy walka gaśnie, — nic nie pozostaje ludziom, stojącym u steru organizacji, jeno ująć broń, udać się do jednego z powstańczych obozów i tam zginąć... — Jeszcze nie wszystko stracone — szepnął bardzo cicho Traugutt — niby do siebie...” „O pięć dni później w sobotę dnia 9 kwietnia — pisze dalej Dubiecki — dłużej niż zwykle przebywałem w pokoju dyktatora. Załatwiano bieżące interesa, tyżące się różnych gałęzi administracji i sekretarjatu stanu, poczem rozmowa, wszedłszy na tory powszednie, przeciągnęła się prawie ku północy; nic, zdawało się, bezpośrednio nam nie zagrażało. Pożegnaliśmy się uściskiem serdecznym i słowem „dowidzenia...” przed wyjściem oświadczyłem dyktatorowi, że mam zamiar i potrzebę być jutro zrana u dyrektora spraw zagranicznych, zapytuję więc o polecenia, „nie mam żadnych, uściskajcie go odemnie”. Ostatnie to były słowa Traugutta, które usłyszałem odchodząc”.

Nazajutrz rano aresztowano Dubieckiego. „Opuszczając dziedziniec,—pisze o tej chwili— rzuciłem okiem na główne domostwo i z niemłą pociechą nie zobaczyłem tam ani policji, ani żandarmerji; cisza otaczała siedzibę dyktatora... Ocalony!... pomyślałem radośnie i z lekkim sercem wskoczyłem do dorożki, która mnie powiozła na Pawiak. Tam, zamknięty pod Nr. 44 dolnego piętra, doznałem uczucia zupełnego spokoju. Po wzruszeniach całorocznych, po wysił-

aby wybawić się od jego pokus — powiedział blednąc drżącymi wargami — Po co więc Wasza wielebność poddaje mnie im podczas modlitwy i w świątyni Bożej?

— Idź, idź — wybuchając i chmurząc się rzekł przeor.

Nazajutrz ojciec Sergjusz prosił o przebaczenie przeora i bractwo zakonne za swoją pychę, lecz jednocześnie po nocy spędzonej na modlitwie postanowił, że musi ten klasztor opuścić, i napisał o tem do starca, zaklinając, by mu pozwolił powrócić do swego klasztoru, wreszcie wyrażał skruczę z powodu popełnionego grzechu pychy: Odwrotną pocztą nadszedł list starca, w którym ten pisał, że przyczyną wszystkiego jest jego pycha. Starzec wyjaśniał mu, że wybuch gniewu nastąpił dlatego, iż on ukorzył się, wyrzekając się duchownych zaszczytów nie ze względu na Boga, lecz ze względu na swoją pychę, że oto patrzcie, jaki to ja jestem, niczego nie potrzebuję. Z tego powodu on i nie mógł znieść postępków przeora. Zlekceważyłem wszystko dla sławy Bożej, a oto mnie wystawiają na pokaz niby zwierzę. „Gdybyś pogardził sławą dla Boga, zniósłbyś i to. Jeszcze nie zagasła w tobie pycha świecka. Myślałem ja o tobie, skarbie Sergjuszu, i modliłem się, i oto czem w stosunku do ciebie Bóg mnie nauczynał. W Tambińskiej pustelni zmarł świętego ży-

wota pustelnik Harjon. Żył tam on osiemnaście lat. Przeor tambiński zapytywał mnie, czy niemą brata, któryby zechciał tam zamieszkać? A tu twój list. Ruszaj do ojca Paisja do Tambińskiego klasztoru, napisz do niego, a ty proś, by ci pozwolił zająć celę Harjona. Nie dlatego, żebyś mógł zastąpić Harjona, lecz że dla ciebie potrzebna jest samotność, aby ukorzyć pychę. Niechże błogosławi cię Bóg”.

Sergjusz posłuchał starca, pokazał jego list przeorowi i zapytawszy go o pozwolenie, oddał swoją celę i wszystkie swe rzeczy klasztorowi i wyjechał do Tambińskiej pustelni.

Przełożony Tambińskiej pustelni, dobry gospodarz, pochodzący z kupców, przyjął prosto i spokojnie Sergjusza i pomieścił go w celi Harjusza, dając mu z początku towarzysza braciszka, lecz następnie, na życzenie Sergjusza, pozostawiając go samego. Cela, była to grota wykopana w górze. W niej też był pochowany Harjon. W tylnej grocie był pochowany Harjon, w bliższej zaś była nisza do spania, ze słomianym materacem, stolik i półka z obrazami świętymi i książkami. U drzwi zewnętrznych, które się zamykały, była półka. Na półce tej, raz na dzień, składał mnich z klasztoru posiłek.

I ojciec Sergjusz został pustelnikiem.

(C.d.n.)

Przełożył Xawery Gllka.

kach fizycznych i moralnych ostatniego półroczu, znalazłem wreszcie, bodaj dla ciała znużonego dzień wypoczynku. Rzuciłem się na twarde łoże więzienne i zasnąłem spokojnym snem młodości. Zасыpiając marzyłem jeszcze, jak to szczęśliwie, iż Traugutt ocalony! „Myślą tą ludził się przez pierwsze dwa tygodnie więzienia. Lecz radość Dubieckiego była płonna: 11 kwietnia wczesnym rankiem zabrano i jego przyjaciela, trafiając tem samym sprawę w samo serce.

(C. d. n.)

Stefan Pomarański.

NA MARGINESIE.

„Polityka każdego państwa tkwi w jego geografii“ powiedział ongi Napoleon, a historia współczesna przynosi coraz to nowe potwierdzenie tej sentencji. Gdyby był dożył obecnych czasów genialny ten mąż, dodałby zapewne jeszcze jako uzupełnienie: „i w jego geologii“. Dziś wojska francuskie, wbrew planom i zamiarom polityków i wodzów swoich, znalazły się znowu na odwiecznym szlaku swych walk i podbojów, tam, gdzie szły za Ludwika XIV-go, z konwentu, dyrektoryjatu i pierwszego cesarstwa. Zajmują te tereny już bez walki, jak gdyby pchane fatalizmem historycznym, musiały dokonać pochodu, przerwane w pierwszych dniach listopada 1918 r. wskutek kapitulacji Niemiec i postanowienia sojuszników. Okupacja zagłębia Ruhry okazała się nieuchronnym choć nie zamierzonym epilogiem zwycięskiej wojny. W zasadzie można jej było uniknąć. Potrzeba było na to tylko, żeby Niemcy uczyniły to, co Francja w 1871 r., która mimo straszliwego zniszczenia przez inwazję zdobyła się na doraźne zapłacenie pięciomiljardowej kontrybucji, byleby tylko pozbyć się nieprzyjaciela z kraju. Niemcy nie zdobyły się na ten odruch ofiarnego patriotyzmu, choć nie były zniszczone i nie o kontrybucję, lecz o odszkodowanie chodziło. Może dlatego, że nieprzyjaciela w kraju nie miały i mimo oficjalnych, w traktacie umieszczonych zastrzeżeń, nie przypuszczały, by mógł istotnie wkroczyć. Jak zwykle w polityce niemieckiej, zaważyła tu tępa krótkowzroczność, brak polotu i wyobraźni.

Niemcy nigdy nie umieją wnikać w naturę i charakter narodu, z którym mają do czynienia. Są złymi psychologami i o to rozbija się cała ich dyplomacja. Próbując zastraszyć naród rycerski — prowokują go; chcąc wzbudzić litość narodu kupieckiego — gubią swój kredyt. — Dziś załamuje się cały przemądrzały plan ich powojennej polityki, owe kalkulacje na rozbitcie Ententy, wygrywanie Anglii, Włoch i Ameryki przeciw Francji i Belgji — a w końcu izolowanie głównego przeciwnika i wierzyciela.

Dzień po dniu przekonywa ich coraz bardziej, że żaden z tych domniemanych opiekunów nie ruszy palcem w ich obronie, gdy cierpliwość Francji, wyczerpana do ostateczności ich uporczywym: „nie dam, bo nie mam“ — odpowiedziała im wkońcu: „poszukam sama i wezmę“.

Dodać można: „Wezmę, bo muszę“. Istotnie, któżby miał prawo się dziwić, że mając do wyboru doprowadzenie do ruiny i nędzy własnego narodu, rząd francuski wolał raczej zaryzykować bankructwo Niemiec, którem wszystkie powojenne rządy niemieckie straszły świat cały.

Bierny opór, który Niemcy przecistawiają Francji nie jest znów tak straszny, by się go miał ulęknąć naród, który nie dał się zastraszyć pociskami dział dalekonośnych, padającymi na Paryż. Zresztą im dalej posuwają się okupacyjne wojska francuskie, tem bardziej opór ten stawać się musi *biernym*, tem mniej grozi przejściem do czynnego oporu. Zagłębie Ruhry jest nie tylko skarbcem, lecz głównym arsenałem Niemiec.

Będąc dziś z natury rzeczy kością niezgody, mogłoby się ono jednak w innych okolicznościach stać ogniwem łączącym politykę gospodarczą obu krajów i dla obu źródłem materialnej pomyślności.

Już w poważnej prasie niemieckiej zaczynają się odzywać głosy, że ruda lotaryńska jest równie potrzebna westfalskim hutem, jak węgiel nadreński lotaryńskim stalowniom — więc możnaby się przeciwieście jakoś ułożyć...

Czy w Niemczech te kompromisowe prądy wezmą górę, trudno przewidzieć, to jedno przecie stało się widocznem, że czyniąc na złość całemu światu, Niemcy najwięcej zaszkodziły sobie oraz że zawiodły się srodze, licząc na rozpętanie nowej zawieruchy powszechnej przez pchanie do własnej katastrofy. Znalazły się one i w stosunku do swych sojuszników w położeniu owego włoskiego oficera, który, chcąc poderwać swą kompanję do ataku, pędził z podniesioną szablą na wroga i usłyszał, jak własni żołnierze biją mu frenetyczne brawo, ani myśląc wyleść z okopów. Bolszewicy a za nimi komuniści wszystkich krajów piorunują na „imperjalizm“ francuski i zarzewiawą odwagą niemieckiego Michałka, ale wcale się nie kwapią rzucać się w ogień, w którym on sobie palce parzy. — Jedną jedyną przyjaciółką, Litwa, podjęła się wywołania rozruchu i zmażenia spokoju Sprzymierzonych; i ona jednak przekonała się, że nie daleko się zajdzie hasłem: „na złość tacie, niech mi uszy zmarzną“. Nietylko uszy zmarzną, ale jeszcze tata klapsa dołoży. O Kłajpedę wojna nie wybuchnie; Litwa nie jest taką potęgą, której mogłaby się ulęknąć Liga Narodów, więc zapewne bardzo umiarkowane środki zaradcze wystarczą dla utrzymania w korbach tej republiki, którą kalkulacje niemieckie powołały do życia, a konferująca dyplomacja powojennej Europy przy życiu utrzymywała i oficjalnie do związku narodów dopuściła. Wszystko szło jak z płatka, póki to maleństwo nie zaczęło się krnąbrnie stawiać i niesfornie ciaskać. Dano mu tedy do zrozumienia, że o ile nie zechce się zachować przyzwoicie, może być lada chwila wprowadzone za drzwi, — tj. usunięte z Ligi Narodów. Czy to pomoże? niewiadomo. Najbliżsi opiekunowie: Niemcy i Rosja, również do Ligi nie należą, ale nie można powiedzieć, by im się na razie działa tak dobrze, aby się na nich wzorować i liczyć można. Lubią one drugim sprawiać kłopoty, lecz to nie znaczy, by nie miały swoich własnych.

Dzieja się nawet pewne niepokojące rzeczy, o których rok temu jeszcze się Litwie nie śniło. Marka niemiecka, która wtedy z góry jeszcze patrzyła na żalostną nędzę marki polskiej, teraz leci na łeb na szyję, a marka polska mimo zawrotnego pośpiechu podążę za nią nie może. Już Śląsk, już i Gdańsk — z dwojga złego wybierając — decydują się raczej na walutę polską niż na upieranie się przy zastrzeżonym sobie przywileju odrębności monetarnej od kraju, z którym, prowadzić ją wbrew geografji je łączą nierozzerwalne gospo-

darce węży. „Polityka leży w geografii bywa rzeczą trudną i ryzykowną. Cudze kłopoty są bardzo niedostatecznym zadość uczynieniem za dokuczliwość kłopotów własnych.

A szkoda! bo gdyby obecnie Polaby mogli w złośliwości znaleźć osłodę losu, to nie brakłoby im okazji do szczerzego rozweselenia. Oto np. ściśle zamknięcie granicy polskiej odbiło się boleśnie na giełdzie berlińskiej zniknięciem dolarów. Któżby się był spodziewał, że Polska była tam głównym dostawcą tej wysokocennej waluty! Że nie gdzieindziej lecz u nas właśnie jest centrala handlu dewizami!

Niestety! w Warszawie tych dolarów nie widać; widzi się tylko tych żydów, co je wywożą zagranicę.

Reflektor.

NIE TYLE GRZESZNE ILE KAŚLIWE USTA MAGDALENY SAMOZWANIEC.

(*Dokoła Magdaleny Samozwaniec „Na ustach grzechu”, powieści z wyższych sfer towarzyskich.*)

Wiadomo, że najbardziej nam brak w Polsce estetycznego bicia sarkazmu. Cudowny ten środek artystyczny i pedagogiczny uzdrowił we Francji np. niejednego cherlawy organizm i niejedną doniosłą wywołał zmianę — pominawszy całą bezpośrednią rozkosz, jaką daje kulturalnemu człowiekowi ostrze ironicznej klingi.

Polak ma wielkie zasoby pogodnego humoru, ale o ile ta pogoda wychyli się nieco ze swoich ram i nikt przeciw temu weta nie założy, natychmiast staje się rubaszną, a częstokroć wprost trywialną.

Na ów brak sarkastycznego, dobrego dowcipu wpływa u nas głównie bogactwo naszego języka, który na każdy przedmiot ma swoje odrębne określenie, przez co odpada kapitalna broń sarkazmu: synonim, kalambur, dwuznacznik. Synonim jest bądź co bądź pepinię dowcipu. Francuz operuje nim, jak floretem. Poematy wprost kwitną u niego ironji — katedry wprost stawia się tam sarkazmowi. Wielkie problemy obyczajowe, religijne, polityczne rozcina tam niejednokrotnie subtelnym pejcz dowcipu. Wierzyć się poprostu nie chce, że np. w walce z Kościołem, dla przygotowania gruntu pod rozdział Kościoła od Państwa, taki Leo Taxil, czyli Eugeniusz Hins, czy inni koryfeusze Wolnej Myśli, posługiwali się prawie wyłącznie raketami humoru, że całe tomy wydawali pieniającej się uszczypliwością literatury, w której wśród swawolnego śmiechu przeprowadzali djabelskie swoje plany. U nas w podobnym wypadku wytaczano by całą baterję dział najwyższego wodomiaru, najgłębszej filozofji, najwyuzdańszych oszczerstw, napaści, odwołań — ba! nawet czarnej, astralnej magji Andrzejów Niemojewskich.

Zdarzało się, że w jałowej glebie naszego dowcipu błysnął ogień rzadki (o nowszych czasach mówię!). Ukaza się takie „Liberum Veto“ krakowskie, niezrównane, zastąpione dziś niezawsze udolnie „Szczytkiem“ — zapowie się Nowaczyński, w swoich „Facecjach Sowizdrzałskich“ i „Małpiem Zwierciedle“ i zacznie siać w prawo i w lewo ostrym sztyletem persiflarzu, wielkich magów narodowej kultury. Ukaza się prototyp Magdaleny Snmozwaniec: bajeczna transkrypcja Maryni Połanieckiej... mojej... najmojejszej... Ukaza

się Makuszyński, Perzyński, Słonimski i urywa się wszystko nagle. W tej sarabandzie finezji i radosnej złośliwości pozostaje jeden Boy, niewzruszenie wykwinny, nieporównanie cięty (czyżby dlatego tylko, że się silnie otał o literaturę francuską?), a reszta zapadnie się wolno w odmet trywialności, natarczywego dochodzenia osobistych pretensji, lub zwyczajnego błaznowania. Odżywczy humor Makuszyńskiego (nowel i recenzji) przeszedł zawrotnie szybko w chorobliwie zmanierowane błaznowanie — nawet taka chodząca dostojność, jak Grzymała-Siedlecki, wpada coraz częściej na tę platformę, vide feljeton jego o „Musującym Poranku“ Karskiego“ i inne.

Ludziskom się zdaje, że są dowcipni i kaśliwi, że czarują swoim *esprit*, a tymczasem dzwonią tylko cyrkowym dzwoneczkiem wesołka, albo wogóle przechodzą, zrazu nieznacznie, wkońcu jawnie z salonu... do karczmy. Z dzisiejszych pisarzy naszych, prócz nielicznych wyjątków (Boy zawsze, a Perzyński, Słonimski i t. d. czasem), są tylko ci mili, dobroduszni, w przyzwoitym tonie, lecz niestety rozblaznowani do najwyższych granic, na co im nikt uwagi nie zwraca, choćby przyjacielskiej. Makuszyński naprzykład*). Są ci również przyzwoici, ale już zagląający czasem do karczemek przydrożnych, śladem większości (Sublokatorka!) i ci, typowo „Bocianowi“ pisarze, wyzuci z wszelkiej miary i dystynkcji, pisarze, którychby przedwojenna, przyzwoita publiczność absolutnie nie tolerowała. Taki dajmy na to Nowaczyński! Jeszcze w niektórych kalamburach świetnych („belwederwische“ „bonapartski“), z których celem można się nie godzić, lecz których złośliwą finezję uznać trzeba, przebłyskuje dawny, mistrzowski „wypad“ — ale poza tem patrzy człowiek kulturalny z odrazą na te ulicznikowskie, trywialne koziołki, na ten nudny, powtarzający się w nieskończoność, ciasny motyw kołowrotka partyjnego, czy na podrygi osobistych, zgoła nie zajmujących wycieczek, w których zaiste ordynarność sama sobą się upaja! I z odrazą patrzy, że w bliskim towarzystwie takich wesołków nie wstydzą się występować ludzie poważni i zasłużeni.

Jakże się popsuta polska publika czytająca! Gdzieżby się dały przed wojną pomyśleć artykuły i feljetyony niektóre dzisiejszej „Rzeczypospolitej“, „Słowa Polskiego“, „Kurjera Poznańskiego“, w piśmie, jak, choćby to samo „Słowo Polskie“, czy „Czas“, czy „Gazeta Lwowska“, czy „Słowo“ warszawskie! Gdzieżby był tolerowany podobny ton przez przedwojenne grono czytelników owych „prawicowych“ pism?

Nesmak nas nie opuszcza. Salon upada. Niktby nie przypuszczał, że fakt, iż połowa dąsów na paradnych balach tańczy bez rękawiczek, że najdroższe restauracje podają do obiadu serwety papierowe, żądając jednakże fraka od kelnerów, że to stoi w bezpośrednim związku z upadkiem naszych wymogów estetycznych, a w pośrednim z upad-

*) U Makuszyńskiego rozbraja przynajmniej szczerzy sentyment. Podczas gdy taki Nowaczyński np., który się urodził w Krakowie, z którego Kraków „zrobił człowieka“, płwa na to miasto systematycznie i obrzuca je błotem — Makuszyński pisze swoje śliczne listy o Lwowie, dyszące gorącym, głębokim umiłowaniem tego miasta rodzinnego. Rzeczy to może nieepokowe, lecz pobudzające wprost do łez każdego, kto to miasto najmilsze zna i rozumie.

kiem naszego bytowania towarzyskiego wogóle, publicystycznego i politycznego. Jeden frnacuz powiedział mi raz, że nikt nie ma pojęcia, jak ważną jest kwestja jedzenia lub niejedzenia nożem dla kształtowania się zagranicznej polityki i losów danego państwa. Wszak dyplomacja to salon tylko „przez powiększające szkła“... Przegrały Niemcy wojnę, ale nie dały przez to złego świadectwa swojej armji — dały go tylko swojej dyplomacji, a faktem jest, że Niemcy to z narodów naród najmniej salonowy.

Idea monarchiczna, kiełkująca w nas blade i wybuchająca od czasu do czasu znikomym fajerwerkem, to może raczej tęsknota do pewnych zaginionych *form* zewnętrznych, estetycznych, a niżeli dążność do istotnej „reformy“ politycznej. Korpusy paziów... ochmistrze i damy dworu... etykieta: surowa strażnica manier salonowych... akademje orientalne... świetne oficjerskie zjawiska... wielkie bale dworskie, nadające ton... pradawne fraucymery... to jest napewno istotniejsze podłoże tej chęci przefasonowania czapki frygijskiej na jagiellońską, względnie niejagiellońską koronę!!!

W tej mrzonce niewinnej mieści się wszystko zapomniane, co nas opancerzało przeciw bolszewizmom ducha, bandytyzmom, faszyzmowi, objawom, z których wytycznemi narody niestety coraz bardziej się oswiają, nie widząc, że tak owe fatalne objawy społeczne, jak i remedia na nie rzekomo wynajdywane (dajmy na to faszizm na bolszewizm), to tylko różnoraki przejaw ogólnego schłopienia Europy. O jakże siostrzanie bliską jest estetyka etyce!!!

Ztraca się wolno pojęcie estetyki. Stajemy się głusi i oziębli na krzyżące nietakty naszej prasy, na gruboskórne występy naszych polityków, na pauperską rolę naszej krytyki literackiej, na karczemność teatrów, kabaretów, tańców. Ztraca się szlachetna linja sportu: gentleman jeździ ramię przy ramieniu z zawodowcami... Ściera się demokratycznie świat ze sobą, w dancinгах, naświetlając się coraz bardziej apaszową, uliczną latarką... Gdzieżby dawniej chłopak z porządnego domu hasał publicznie, w kawiarni, w t. zw. dancingu, wobec kawiarnianej halastry i noblessy, z pół i ówierćświatkiem — !?

Szkoda salonu, który był wykładnikiem kultury.

Role się mieszają w tym wiatraku nowoczesnym, występują coraz dziwniejsze twory dziwacznych połączeń chemicznych. Nie dojdzie np. nikt, dłaczego w Polsce, gdzie prasa t. zw. „lewicowa“ spoczywa ponoś w rękach semickich, a „prawicowa“ ponoś w rękach aryjskich — dłaczego właśnie ta ostatnia uderza każdego wybitnego semickim swoim charakterem, zaciekłością, palestyńskim zaplucaniem się, zachłystywaniem wprost — podczas, gdy „lewicowa“ jest jaskrawo.. aryjsko-chamska. (Nie mówię oczywiście o wyjątkach, mamy kilka pism wykwintnych. Mówię o ogóle). Kotyljonowe figury rozwydrzenia ulicznego święcą tryumfy niebywale.

Szkoda dawnego salonu, który rzucał blask na całe państwa, na całe szeregi genialnych artystów, polityków, wodzów. Szkoda jego surowości w zewnętrznym polorze, jego wymogów co do formy, co do tonu, wymogów przedostających się i na ulicę. Porównajmy typ służby dzisiejszej, prywatnej, hotelowej, czy restauracyjnej, do typu

dawnej służby. Dawni sankiuloci byli, Bóg świadkiem, wykwintniejsi od dzisiejszych naszych monarchistów... Szkoda dawnej bezwzględności w odgraniczaniu wesołka od ironisty, krytyki od napaści, publicystyki od publicznej pralni. Wycucie tych różnic dawał nam salon, który był wokół nas, dostępny każdemu, mimo swej niedostępności. Reagowaliśmy ostro na gburowatość, obecnie każdemu się przytakuje, o ile jest w zasadzie naszego zdania — lub obojętnie kiwa głową na pauperskie wybryki przeciwnika. Tęskni się jednak nieprzerwanie, gdzieś w głębi duszy, za miłym gestem dobrze wychowanego człowieka, za wykwintną rozmową towarzyską, iskrzącą się dowcipem, za pięknym uśmiechem jowialności.

Dlatego może tak ucieszyła wszystkich w Polsce książeczka Magdaleny Samozwaniec. Nareszcie trochę humoru, nie zabarwionego ekonomstwem! Nareszcie trochę istotnej, nienaciągniętej ironji! Nareszcie trochę floretów, miast sielskich, anielskich cepów!!!

Bardzo zabawna, bardzo miła, bardzo niespodziana książka.

Złożyło się tak, że zaraz po ukończeniu „Na ustach grzechu“ czytałam „Ewę przyszłości“ de l'Isles Adama, w wydaniu Lektora i pomyślałam, że oto jeszcze jeden temat prosi się pod pióro Magdaleny Samozwaniec: skala artystyczna naszych tłumaczy! Teraz zwłaszcza, kiedy rynek księgarski zasypany wprost tłumaczeniami.

Ten barok niesłychany, to niezrozumienie ducha danego języka! Np. ustęp w „Ewie przyszłości“ „zwrócił jej wizyte“ (w znaczeniu „złożył“ *rendre visite*), lub takie niewyznawanie się w dwojakim znaczeniu wyrazów, np. fatalne słowo „*sentir*“ w tłumaczeniach Makuszyńskiego... Grand-ilo kwencja, napuszonosc i nieinteligencja naszych tłumaczy! Niektórych ogromnieby się nadawała na wiwiskcyjny stolik Magdaleny Samozwaniec.

Dwa błędy, zdaje mi się, zarzucić można miłej, sowizdrzałskiej książce „Na ustach grzechu“. Pewną niesmaczną reminiscencją z rozdziału XIV: „na ścianie wisiało dzieło sławnego mistrza pędzla, który straciwszy na wojnie obie nogi, zastępywał je znakomicie rękami“... Drobiazg!!! ale Magdalena Samozwaniec nazbyt jest związana osobicie z polskim cechem malarskim, aby nie rozumiała, kogo ten dowcip na myśl czytelnikowi nasunie, a przecież są rzeczy piękne i tragiczne, z których się nawet w przenośni śmiać nie sposób. Nie wątpię, że było to tylko przeoczenie!

Drugi błąd, to owe grube kropki nad „i“, mianowicie: dedykacja, dodatek krawiecki rażący nieco przy lekkiej, szleszczącej wesołości szatce. Ale, mój Boże! dobrze jest coś i dla swoich recenzentów zrobić!!! Gdyby nie ta dedykacja, gdyby nie to umiejętne zaheroldowanie książki przez przyjaciół autorki — byłaby się z całą pewnością nasza krytyka literacka nie ustrzegła od horrendalnej gaffy. Niema dwóch zdań, że byłaby przyjęła książkę, jak każdą inną powieść złą, lub dobrą, nie domyślając się nawet, że to złośliwa imitacja... Przecież o jednej z moich nowel, pisanej najnowocześniejszym językiem, oświadczył niedawno arcykapłan krytyki naszej urzędowej, że „autorka posługuje się w niej bardzo świetnie językiem epoki zygmunto-wskiej“... (Grzymała Siedlecki o moich „Kontryfałowych lichtarzach“).

P. Jerzy Koller stwierdził w „Dzienniku Poznańskim“, że Magdalena Samozwaniec przejawiała z rozmysłem niektóre momenta, aby się snadniej zorientował niedomyślny czytelnik polski, *simplex servus Dei*, i nie wziął persiflarzu za dobrą monetę. Śmiem sądzić jednakże, że w stokroć gorszym niebezpieczeństwie od czytelnika była krytyka literacka nasza — ta krytyka, która bierze nieraz tytuł za autora (kompromitująca rzecz Siedleckiego o Skamandrze i Rousseau!) — która zdanie np. poczynające klechdę o 63 r. „*zgnoił swoją ziemię krwią pracowicie*“ — tłumaczy na „O zgrozo!!! krew naszych bohaterów porównuje się do gnojówki!!“ (p. Jerzy Koller o moich „Kryjakach“) i t. p.

Teraz może używać Krytyka, uratowana od niezawodnego wypadku przez samą autorkę. Teraz nawet p. Grzymała Siedlecki puszcza się na bystre wody głębszych dociekań i oświadcza, że Magdalena Samozwaniec pewnie dlatego wybrała imię *Samozwaniec*, że to najbardziej przypomina historycznie... Mniszchównę. Drugi świetny i bystry recenzant powie, że dlatego nazwała się Samozwaniec Magdaleną, że niby grzeszne usta... grzesznica z Magdali... (Nasza krytyka urzędowa wogóle passjonuje się do kwestji nazwisk i pseudonimów literackich. Spać im nie daje ich geneza, ich znaczenie. Co się namozolił jeden recenzent nad moją *Jehanne!*)

Jakże mądrą jest Magdalena Samozwaniec, że zanim jej książka światło dzienne ujrziała, zapowiedziała ustami przyjaciół swoich, nieznacznie: i dedykacją głośno:

— Ja nie napisałam powieści! Ja persifluję! A kogo persifluję, o tem się z dedykacji dowiedcie, umieszczonej na pierwszej karcie, o orloocy, subtelni, polscy recenzenci!!!

Stąd w znacznej mierze ich bezwiedna wdzięczność dla niej, nie znająca granic i co za tem idzie, ich solidarny hymn pochwalny na cześć jej doskonałego zresztą debiutu.

Marja Jehanne hr. Wielopolska.

WRAŻENIA TEATRALNE.

*Teatr Polski: „To, co najważniejsze“
N. Jewreinowa.*

Gdy w ubiegłym tygodniu na tem miejscu omawiałem znaczenie zespołu w twórczości teatralnej, nie spodziewałem się, że w kilka dni po napisaniu artykułu danem mi będzie podziwiać widowisko, które całkowicie odpowiada zespołowym zadaniom teatru. Widowiskiem tem jest „dla jednych komedja a dla innych dramat“ Jewreinowa p. n. „*To, co najważniejsze*“, odegrany nieospolicie pod kierunkiem reżyserkim Borowskiego w Teatrze Polskim.

Zespołowy charakter tekstu Jewreinowa polega na precyzyjnym, jaknajstaranniejszem powiązaniu z sobą wszystkich spoidel przedstawienia. Autor zdawał sobie znakomicie sprawę z tego, o czem tak często, niestety, zapominają autorzy piszący dla teatru: że *dramat jego żyć będzie nie w czytaniu, lecz na scenie*. A więc, że wszystkie myśli wypowiedać należy językiem scenicznym, zrozumiałym dla widza, którego pobudzi autor do myślenia, ale którego nie zmusi do rozwiązywania zawikłanych, trudnych do odgadnięcia, rebusów.

Język sceniczny musi być wyrazisty. Musi być przez autora traktowany niemal jak obraz, który staje żywy przed oczyma widza. Nie jest to powieść, w której czytelnik obraz wyczaruje za pośrednictwem dzieła autora. Na scenie autor *sam* ten obraz tworzy. Jakże często zdarzają się przy tem potknięcia: autor wypowiada głębokie prawdy, bardzo mądre i bardzo istotne. Ale nie zdaje sobie zupełnie z tego sprawy, że widz nudzi się — i ziewa. Ziewa, a więc nie ma siły na skupienie myśli i na docenienie prawd, głoszonych przez autora.

Inny znowuż autor daje barwny obraz sceniczny, pełen życia i ruchu. Ale czegoś mu brak: ze sceny wieje przecież chłód, a w duszy widza panuje pustka. Dlaczego? Bo autor zadowolił się *zewnątrznem* tylko przedstawieniem tego, co powinno być *przeżyciem*.

A bezkrytyczny widz (i to nie przeciętny widz tylko) coraz częściej mówi: teatr się przeżył.

O licha, czyż dlatego, że tak mało mamy dzisiaj twórców, którzy potrafią zespolic z sobą w jednolitą, nierozzerwalną całość obraz widowiska z duszą dramatu, czyż dlatego, że na scenach panuje przeważnie banalność, a utworem istotnie wartościowym aktorzy, zepsuci na złym repertuarze, nadają cechy banalne... czyż dlatego teatr się przeżył? Nie, po stokroć nie. I pocóż teoretycznie dowodzić niesłuszności twierdzenia o przeżyciu się formy teatralnej? Najlepszym dowodem jest świetne widowisko sztuki Jewreinowa p. t. „*To, co najważniejsze*“ w Teatrze Polskim.

W jaki sposób wyrósł ten piękny kwiat na zgliszczach i ruinach Rosji, pozostanie chyba zagadką. W każdym razie świadczy on o tem, że prawdziwa poezja nie zginie nigdy pod naciskiem z zewnątrz płynących przeciwności: A wiara w posłannictwo sztuki, jako pocieszycielki strapionych, opuszczonych i nieszczęśliwych, tudzież tej wielkiej siły, która nie nasładuje, lecz poprawia i uszlachetnia życie, ta wiara, jaką przepojona jest sztuka Jewreinowa, tem bardziej świadczy o zasłudze autora utworu, który dla jednych jest komedją a dla innych dramatem, dla wszystkich zaś czystą, piękną sztuką.

Niedawno widzieliśmy w Teatrze Reduta komedję Szaniawskiego p. t. „*Lekko Duch*“. Bohater Szaniawskiego był tym niespokojnym duchem, który nie chce i nie potrafi pogodzić się z istniejącym porządkiem świata i dąży do ustawicznego przewartościowywania go. Z republiki utworzyłby monarchję, z monarchji republikę. Bo nie o formę rządu mu chodzi. Chciałby on, żeby było inaczej, niż jest. A z tego jak jest obecnie, Lekko Duch nie jest zadowolony. Lecz cóż? Nie jest on zdolny do należytego, istotnego przemyślenia sposobów działania, dążących do odmiany stosunków życiowych. To też jego „działalność“ rewolucyjna skończyć się musi zupełnem niepowodzeniem, a ślad jej pozostanie jedynie w pamięci bardziej wrażliwych na wszelkie piękno, lecz niezdolnych do zrozumienia istotnych potrzeb życiowych — kobiet.

Zupełnie inną drogą zmierza do „naprawy

życia" Paraklet Jewreinowa. Nie jeździ on w czerwonym fraku na złotym samolocie, ale przybiera raz poraz na siebie inną postać, by zetknąć się bezpośrednio z nędzą i nieszczęściem ludzi, którym ociera łzy. W jaki sposób?

Angażuje on aktorów teatrzyku prowincjonalnego, tych którzy co wieczór na deskach scenicznych tworzą iluzję piękna i iluzję rzeczywistości i każe im zagrać — na scenie życia. Jak wielką misję spełniają siostry miłosierdzia, pielęgnujące chorych cielesnie, tak niechaj ci aktorzy przemienią się w *aktorów miłosierdzia* i leczą chorych — duchowo. Niechaj im dadzą jedną bodaj, ale piękną chwilę życia.

I oto jesteśmy świadkami pięknego widowiska: biedna, smutna, brzydka panienka, czuła się bardzo, bardzo nieszczęśliwa, bo widziała jak upływają jej lata a jeszcze żadne serce — poza sercem jej matki — nie zabiło dla niej goręcej... A przecież istnieje jakaś inna miłość poza tą miłością matczyną. I — zaangażowany przez Parakleta — aktor, grający rolę kochanków, tak świetnie „udaje“ miłość, tak nie wychodzi ani na chwilę z swej roli, że biedne dziewczę wierzy gorąco w jej prawdziwość. Nic to, że ktoś tam chce jej otworzyć oczy, że to wszystko nieprawda, dziewczyna w to nie wierzy, nic to, że „kochanek“ mówi biednej panience, że niestety musi ją opuścić, bo jest — żonaty. Chwila szczęścia wystarczy dziewczęciu na całe życie. Smutne dni jej staropanieństwa opromieni urok — wspomnienia.

Albo student, który nie lękał się śmierci, ale bał życia, który nie mógł żyć w kłamstwie i targnął się na własne życie... Na drodze życia pojawia się — znowu pod reżyserją Parakleta — „aktorka miłosierdzia“, niby pokojówka, która urokiem swym, młodością i wdziękiem pogodzi niedosłatego samobójcę z życiem i nauczy go patrzeć na świat z większą ufnością i siłą.

Albo znowu stary, emerytowany urzędnik... Da mu Paraklet do towarzystwa wesołka, komika teatralnego, który grać z nim będzie w szachy, będzie go bawił, rozśmieszał, słowem osładzał dni starości i czynił tę starość lekką, ba, nawet wesołą.

Ten sam komik rozbudzi serce w starej paninie, złej na świat cały, damie klasowej. Lecz cóż? Ona jedna usłyszy przypadkowo rozmowę między reżyserem a aktorem tego przedstawienia życiowego... Iluzja piękna tryska. Ona, która występowała przedtem przeciw studentowi — samobójcy, sama popełni samobójstwo.

Dawszy chwilę iluzji szczęścia w smutnym przedtem i ponurym domu, powrócą aktorzy na deski sceniczne. Ale wystarczy ich krótki pobyt w domu, z którego kątów wzywały smutek i rozpacz, by wygnać je zeń raz na zawsze i by mieszkających w jego zarządzić ukochaniem życia. *Byleby tylko uwierzyli w iluzję szczęścia, jako w istotną prawdę.*

Wielkie jest zadanie sztuki: siłą swą i głębią winna ona poprawiać i upiększać życie. „To, co najważniejsze“ jest hymnem ku czci tak pojętej sztuki. „Najważniejszym“ jest, by

każdy człowiek przeżył bodaj jedną, krótką, ale prawdziwie piękną, chwilę szczęścia.

Przed dwoma laty grano w teatrze Rozmaitości baśń Rabindranath Tagory p. n. „Biuro pocztowe“. Bohater jego, młodziutki poeta, odtrącał od siebie realizm życia, wyrzekał się mądrości książkowej. Za to odczuwał on piękno uludy... wierzył w prawdziwość tego, co mu w zmyślonych opowieściach o wyspie papug opowiadał fakir. Za to widział on piękno tam, gdzie go nikt inny nie dostrzegał: i w handlu mleczarza... i w pracy stróża... To, co dla innych było codzienne i pospolite, dla niego było odświeżające i przeczudne...

Rabindranath Tagore daje widzieć te wyśnione cudzy piękna wybrańcom — poetom. Jewreinow wierzy w to, że *każdy* ma prawo do szczęścia i każdy jest zdolny przeżyć chwilę istotnego cudu. Optymizm jego, na tle lamentów Rosji współczesnej, jest bardzo charakterystyczny, choć niewątpliwie mocno przesadzony. Czyż dla ludzi Rosji wczorajszej wystarczy wspomnienie innej przeszłości? Czyż nie cierpią oni tem więcej, patrząc na Rosję inną, tak im obcą?

Ale to nic. Na tle tragedji Rosji to pocieszenie serc własnych wydaje się tem bardziej podniosłe i tem więcej poetyczne.

Wspomniałem na początku, że „To, co najważniejsze“ jest napisane szczerym językiem teatralnym. Wszystko, co wyżej opowiedziałem, przedstawia Jewreinow z taką plastyką wyrazu, z taką pogodą i uśmiechem, że widz czuje się nietylko opanowany całkowicie przez autora, nietylko uśmiecha się, ale równocześnie nastraja się na ton podniosły. I to jest właśnie największa zaleta sztuki Jewreinowa: nie jest ona tylko — jak mówi autor — „dla jednych komedją a dla innych dramatem“, ale jest *równocześnie* i komedją i dramatem. Autor tak znakomicie sprzął ze sobą pierwiastki komedjowe z dramatycznymi, że, dzięki temu, powstało jedyne w swoim rodzaju obecnie przedstawienie.

Technicznie nie zawsze jest Jewreinow w porządku i zgodzie z wymaganiami sceny: ekspozycję rozciąga aż na dwa akty, przez co t. zw. akcja zrazu zupełnie się nie rozwija. Ale pozwala to Jewreinowowi rozwinąć znakomitą humoreskę, przedstawiającą próbę z uscenizowanego „Quo vadis“ na deskach prowincjonalnego teatrzyku, humoreskę, która sama już dla siebie stanowi świetne widowisko.

Reżyserja Teatru Polskiego — zresztą tak doskonale połączyła z sobą dwa pierwsze akty, że tego rozwiłoczenia ekspozycji niemal się nie dostrzegało. Rzadko też artyści odnoszą tak świetny sukces, jak na przedstawieniu sztuki Jewreinowa w Warszawie. Była to antyteza przedstawienia „Wesela“. Tam rzeczy głębokie starano się przedstawić środkami zewnętrznymi; tutaj przeciwnie — efekt zewnętrzny służył do pogłębienia istotnych wartości, tkwiących w tekście Jewreinowa. Obraz sceniczny powstał z logicznego uzasadnienia myśli, zawartych w sztuce i dlatego czynił ją serdecznym przyjacielem, który na długo pozostanie w pamięci widzów.

Wiktor Brumer.

Polskie Towarzystwo Przyjaciół Narodu Łużyckiego.

Dnia 6 stycznia w kole polsko-włoskiem im. Leonarda da Vinci odbyło się posiedzenie organizacyjne „Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Łużyc”. Zagał je prof. Jan Baudouin de Courtenay, przewodniczył prof. Stanisław Słoiński, pióro trzymała p. Julia Dicksteinówna. Najlepszy w Polsce znawca Łużyc, rektor wszechnicy wileńskiej, prof. Alfons Parczewski wygłosił niezmiernie ciekawy odczyt o tym najmniejszym z narodów słowiańskich, który jednak od wieków opiera się załewowi morza germańskiego, a choć Kongres Wersalski zawiódł jego nadzieje, pozostawiając go dziś jedynym już ludem słowiańskim w niewoli, jednak serbowie łużyccy nie upadają na duchu, a nawet życie ich społeczne, kulturalne i artystyczne zaczyna bić coraz gorętszym tętnem. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Narodu Łużyc, powstaje właśnie w celu poznania tego życia i wejścia w stosunki z instytucjami literackimi i naukowymi sympatycznego i dzielnego narodu.

Rysuje się już cały szereg najbliższych zamierzeń, o mniej lub więcej szerokim zakresie, na pierwszy plan pójdzie obchód pięćdziesięciolecia zgonu ulubionego poety narodowego łużyczan, Andrzeja Zejlera.

Zebrań wyłoniło z siebie tymczasowy Komitet organizacyjny, w którego skład wchodzi pp.: rektor Alfons Parczewski, profesorowie uniwersytetu warszawskiego pp: Jan Boudouin de Courtenay, Adam Antoni Kryński, Stanisław Słoiński, ks. Jan Szeruda, Tadeusz Zieliński, p. Julia Dicksteinówna, Franciszek Bąkowski, Karol Czajczyński, major A. B. Dostał, Edward Geisler (senior) i Antoni Zwierzyński.

Osoby interesujące się Towarzystwem mogą zasięgać informacji w kole polsko-włoskiem im. Leonarda da Vinci, ul. Ordynacka 5 m. 4. tel. 286-17, w godzinach 10—2.

Oświadczenie Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Wobec ogłoszonego przez p. Edwarda Ligockiego w „Rzeczypospolitej”, „Gazecie Porannej” i „Gazecie Warszawskiej” listu otwartego do Związku Zawodowego Literatów Polskich, Zarząd Główny Z. Z. L. P. wyraża ubolewanie:

1) że p. Edward Ligocki wystąpienie swoje ze Związku motywuje względami natury politycznej, do czego Związek Zawodowy Literatów Polskich nie dał najmniejszego powodu,

2) że p. Edward Ligocki pozwala sobie na niedopuszczalne wręcz wycieczki polityczne pod adresem tak czcigodnych ludzi i znakomitych pisarzy, jak Wacław Sieroszewski, w ciągu długiego czasu prezesa naszej organizacji.

Za Zarząd Z. Z. L. P.

Juljusz Kaden Bandrowski — prezes
Edward Kozikowski — sekretarz

Pisma i książki nadesłane.

* *Le Correspondant* 25 Janvier.

Charles Dupuis: L'inflation est-elle une es-croquerie? — *Bernard Fay*: La politique inte-

rieure des Etats — Unis et la France. — *Alfred Poizat*: Des causes de l'universalité de la langue française. — *Fernand Passelecq*: La responsabilité de Rathenau. — *Joseph Conrad*: La miroir de la mer. — *Jean de Cheseuil*: La Hongrie et notre politique dans l'Europe centrale. — *René Brancour*: La carrière musicale et l'oeuvre d'Edouard Lalo. — *Antoine de Tarlé*: Le mouvement économique. — *Raymond Lariol*: Dans les provinces. — *Alexandre Masseron*: Notes et aperçus (Les sermons de Saint Bernardin de Sienne). — *Maurice Brillant*: Les oeuvres et les hommes. — *Bernard de Lacombe*: Chronique politique.

* *La Revue universelle*. 15 Janvier.

A. de Chateaubriant: La Briere (II). — *Paul Jamot*: Ingres et Delacroix. — *E. Beau de Loménie*: Une amie dévote de M-me Récamier. — *Pierre Arthuys*: La politique du dollar. — *L. Le coq et H. Hugel*: L'Empire du monde (roman). — Les idées et les faits. [La vie à l'étranger. Les lettres. Les beaux-arts. Chronique de la quinzaine].

* *La Revue de l'Epoque*, Janvier 1922.

Notre enquête („Sinous recommandons à faire de l'art“) par Fernand Divoire; „Sur la critique et sur quelques critiques“ par J. Duvaldzian; „Poèmes“ par P. Reverdy; „Marius et Ary Leblond romancier“ par J. Royère; „Tragedie N° 3 (suite)“ par Canudo; „Deux livres et la tendance spirituelle moderne“ par J. Lasserre; „Individualisme et fraternité“ par V. de Saint-Points; „En marge d'une histoire de la littérature“ par G. Sauvebois; Les lettres et les arts: par M. Fabri, M. Millet, Letellier-Dufreme, Sanitarcy, A. Schneeberger, M. Wałsa; Les échos en marge.

Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska“

Ignacy Dąbrowski: Matki. Powieść współczesna. Str. 516.

Wacław Sieroszewski: Pisma. Tom VI. Z fali na falę. Str. 495.

Eugenjusz Małaczewski: Pod lazurową strzechą. Poezje. Str. 108.

Edward Leszczyński: Radość samotna. Poezje. str. 144.

Petronjusz: Uczta Trymalchjona. Przełożył wstępem i objaśnieniami, opatrzył Leopold Staff str. 120.

Księgarnia Perzyński, Niklewicz i Ska.

Jerzy Batault: Kwestja żydowska. Str. 164.

Aleksander Świętochowski: Czcigodni polacy.

Rupert Hughes: Co ludzie powiedzą. Powieść. Przekład z angielskiego A. Reymontowej Str. 541.

Wydawnictwo M. Arcta, w Warszawie.

Artur Śliwiński: Jan Karol Chodkiewicz. Hetman wielki litewski. Str. 168.

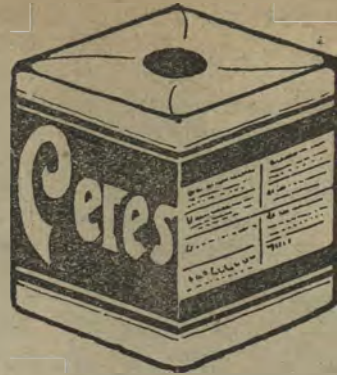
Two Wydawnicze w Warszawie.

St. Szpotański: Adam Mickiewicz i jego epoka, t. III. Działalność polityczna Mickiewicza. Str. 197.

Prof. Tadeusz Zieliński: Historia kultury antycznej w zwięzłym wykładzie. t. I. Str. 234.

Cypryan Norwid: Krakus. Tragedja. Str. 90.

Tak
wygląda



PRAWDZIWY

CERES TŁUSZCZ JADALNY

Przy kupnie nie dajcie się namawiać na inny tłuszcz, jak „CERES“.

Zarząd Spółki „POLSKI LLOYD Spółka Akcyjna“.

podaje do wiadomości pp. akcjonariuszów

że na mocy uchwały Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszów Spółki z dn. 11 maja 1922 r. oraz postanowień Ministrów Przemysłu i Handlu oraz Skarbu z dn. 11 VIII 1922 r. i 22 I 1923 r. pod poz. 88 i 89 przystępuje do powiększenia kapitału zakładowego Spółki o **100.000.000 marek**, t. j. do ogólnej sumy Marek polskich 200.000.000 — przez wypuszczenie 200.000 sztuk akcji (IV emisji) wartości nominalnej po marek 500 na następujących warunkach:

1. Dotychczasowym akcjonariuszom służy pierwszeństwo nabycia na każde dwie akcje poprzednich (I, II i III) emisji jednej akcji nowej (IV) emisji.
2. Akcjonariusze chcący z powyższego prawa skorzystać winni w terminie najpóźniej do dnia 3 marca 1923 r. przedstawić swe dawniejsze akcje oraz wpłacić całkowitą należną za nowe akcje sumę.
3. Rozdziału pozostałych akcji, jak również rozdziału akcji nie rozebranych przez dotychczasowych akcjonariuszów dokona Zarząd Spółki według swego uznania.
4. Cena emisyjna wynosi dla dotychczasowych akcjonariuszów 700 marek, dla nowych nabywców 1000 mk. za akcję.
5. Z ceny osiągniętej na każdą akcję — 500 marek przeznacza się na kapitał zakładowy, całą zaś nadwyżkę po potrąceniu z niej wszelkich kosztów związanych z nową emisją, ale nie mniej niż 11 mk. na kapitał zapasowy.
6. Akcje IV emisji będą zrównane w prawach z akcjami poprzednich emisji z prawem do dywidendy od dn. 1/1 1923 r.

Wpłaty od dotychczasowych akcjonariuszów na nowe akcje za okazaniem akcji dawniejszych przyjmują:

- 1) Kasa Zarządu Spółki „Polski Lloyd, Sp. Akc.” Warszawa, Al. Jerozolimskie 36.

Zapisów na akcje nie przyjmuje się wobec całkowitego pokrycia IV emisji

„PRZEGLĄD PORANNY” jest jedynym niezależnym demokratycznym pismem codziennym w POZNANIU.

Poświęcane jest przede wszystkim sprawom politycznym, społecznym i gospodarczym oraz szczególną uwagę zwraca na poznańskie życie muzyczne, teatralne i literackie.

Nie związane z żadną partją daje krytyczną ocenę wypadków politycznych. (partją na zasadach postępu i demokracji. Dzięki szczegółowemu omawianiu spraw lokalnych Poznania, jak również życia dwóch województw winno być czytane przez wszystkich, których interesują stosunki w b. dzielnicę pruskiej.

Wydawnictwa rok III. Konto czekowe P. K. O. Nr. 203 064.

Redakcja i Administracja: Poznań ul. 27 grudnia 5, tel. 22-32 i 22 40.

„PRZEGLĄD PORANNY” ukazuje się codziennie rano i pierwszymi pociągami rozchodzi się do wszystkich miast Rzplitej.

Warunki prenumeraty na miesiąc luty z odnośnieniem przez pocztę 2750 mk., pod opaską w Polsce mk. 3500 —, pod opaską we Francji 3 fr.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” od 1-go Lutego wynosi **miesięcznie 4000 mk.**

Za granicą w krajach z wysoką walutą kwartalnie 13 franków. W Ameryce 1 dolar.

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena № pojedynczego 1000 mk.

Cena ogłoszeń cała strona 400.000 mk. ½ str. 200.000 mk. ¼ str. 100.000 mk. 1/8 50.000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch”, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE” Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.